

LUBLIN

31.V.1963

Nr 10 (272)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

KAMENIA

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

JAK ROZBUDOWUJE SIĘ LUBLIN

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

PIEKNO czy brzydotę dawnych miast determinowała przede wszystkim architektura. Stąd w historii sztuki spotykamy na pierwszym miejscu pojęcie stylu architektonicznego, jak klasycyzm, gotyk, barok, a dopiero później mówi się o koncepcjach urbanistycznych. Dzięki temu znamy doskonale wygląd Partenonu, katedry w Chartres, nieobecne są naszej pamięci wzrokowej barokowe sylwety Il Gesu i katedry św. Piotra w Rzymie, a o rozwiązaniach urbanistycznych przeciętny inteligent niewiele może powiedzieć. Przyczyny takiego stanu rzeczy leżą także w możliwościach postrzegania człowieka, w łatwiejszej percepcji indywidualnej bryły architektonicznej w odróżnieniu od złożonego widzenia koncepcji urbanistycznej.

Dopiero wiek XX zmienił proporcje między architekturą a urbanistyką doprowadzając do ich równorzędności i wzajemnego uwarunkowania. Urbanizacja współczesnego świata, ogromny przyrost naturalny, demokratyzacja życia społecznego i nowa estetyka — oto zasadnicze przyczyny wspomnianej zmiany stosunku.

Koncepcje budowy miast zmieniły się w Polsce powojennej niestety dość często, a u podłoża tych zmian leżała niesprecyzowana i dość różnie interpretowana myśl teoretyczna. Początkowo była to koncepcja jednostek sąsiedzkich, która po pewnym czasie została zarzucona ze względów społecznych. Po roku 1956 prymat uzyskała idea systemu bloków, do tej pory ze zmiennym szczęściem realizowana, charakteryzującą się luźną zabudową powiązaną w samodzielny organizm urbanistyczny.

Wylączając powojenny kilkuletni okres, na terenie Lublina zaobserwować można dwa typy zabudowy osiedlowej i pombowej — pierwszy z okresu socrealizmu i drugi, oparty na projektach powstałych po roku 1956.

Lata „architektury fasadowej” pozostawiły miastu osiedle na Bronowicach I, ZOR Zachód i pierwszą część osiedla Tatarskiego.

Bronowice I zabudowane monotonnymi i ciężkimi budynkami o dachach upstrzonych kominami, do dziś nieotynkowane, stanowią jedną z dość licznych pozostałości „minionego okresu”. Podobnie osiedle ZOR Zachód, będące przykładem eklektycznego stosowania historycznych dzisiaj motywów dekoracji architektonicznej (rozety w bramach) i elementów dekoracyjno-konstrukcyjnych (attyki). W podobnych konwencjach mieści się pierwszy sektor osiedla Tatarskiego.

Bardziej interesująco przedstawiają się realizacje i projekty powstałe po roku 1956. Te ostatnie mogą uczynić z Lublina miasto o niebanalnym układzie urbanistycznym i ciekawej architekturze, miasto nie tylko zabytkowe, ale i współczesne.

Nowa architektura wykracza w zasadzie poza śródmieście wypełnione zabudową zwartą, niejednokrotnie zabytkową, tak że wolna przestrzeń wykorzystywana jest na wznoszenie budynków pombowych. Do nich należy gmach PDT, zaprojektowany przez inż. arch. Witkowskiego, przy ul. Osterwy, czterokondygnacyjny, pełen światła dzięki olbrzymim tafłom szkła tworzącym jego wschodnią i północną ścianę. Umiejętnie wkomponowany pomiędzy teatr Osterwy i kościół OO Kapucynów nie zasłania gotyckiego kościoła Wizytek z początków XV w.

Przy zbiegu ulic Wieniawskiej i Króla Leszczyńskiego zbudowany zostanie 14-kondygnacyjny budynek biur projektowych opracowany w lubelskim „Miastoprojekcie”. Przeszkłony, o ścianach kurtynowych, stanie się głównym akcentem tej części miasta.

Mówiąc o projektach gmachów usługowych trzeba wspomnieć o kombinacji restauracyjnym przy Krakowskim Przedmieściu (róg Lipowej), rozwiązaniem podobnym do warszawskiej „Wenecji”. Autorem projektu jest inż. arch. I. Rólek z Warszawy.

Znany architekt krakowski Ingar den jest twórcą projektu wielokondygnacyjnego hotelu, który stanie na ro-

KRAZYŁY o nim legendy. Był współczesnym, partyzanckim wcieleniem Kmicica. Udawał mu się najryzykowniejsze akcje, wyprzedzał oddział z najtrudniejszych opresji. W bitwie pod Zatocznem brawurowym uderzeniem w kilkunastu ludzi na skrzydło otaczających partyzanckie zgrupowanie oddziałów niemieckich ułatwił wszystkim wyjście z groźnego okrążenia. Towarzysze nadali mu wiele mówiący pseudonim — „Śmiały”.

Teraz jednak trudno było dowiedzieć się o nim czegoś konkretnego. W ZBoWiD nie mogli nic powiedzieć. Podobno po wyjściu z wojska wyjechał na Zachód i tam siedział w jakimś małym miasteczku na nauczycielskiej posadzie. Dysponowali tylko jedną, starą fotografią sprzed osiemnastu lat.

I nagle — sensacja! Ktoś go gdzieś spotkał i namówił na przyjazd do Zatoczna w związku z uroczystościami rocznicy bitwy partyzanckiej.

Takiej okazji nie można było przepuścić...

„Uwaga, uwaga! Pociąg pospieszny z Wrocławia wjechał na tor trzeci przy peronie drugim”.

Była to godzina kolejowego szczytu. Głośniki stacyjne chrząkały wciąż nowymi zapowiedziami pociągów. Z tunelu bez przerwy wylewał się gęsty strumień ludzki. Setki i tysiące twarzy szarych od trudów podróży, zbitych w gęstą masę, trudnych do rozróżnienia.

Stałem przy samym przejściu patrząc w twarze ludzkie z bolesnym napięciem, coraz mniej wierząc w powodzenie swych planów.

A jednak przypadek okazał się sojusznikiem. Komuś tam otworzyła się walizka, powstał mały zator i tłum prosto na mnie wypchnął szczupłego

gu ulic Narutowicza i Świerczewskiego.

Mieszkańcy Lublina, a w szczególności członkowie NOT, dobrze znają „Dom Technika”, realizację dość banalną, o ciężkiej bryle mimo dużych otworów okiennych zamkniętych jednolitymi płaszczyznami szkła. Pomimo wadliwej architektury zewnętrznej solidne wykonanie pozwala zaliczyć ten

POWRÓT BOHATERA

LESŁAW GNÓT

meżczyznę o siewających skroniach. Twarz wydała mi się dziwnie znajoma...

Czyżby to jednak był On? Na fotografii, którą dokładnie wbiłem sobie w pamięć, młody mężczyzna w junacko zsuniętej na bakier rogatywce, obwieszony bronią i wojskowym sprzętem, był bardzo wysoki i smukły. Biła z niego jakaś werwa i pewność siebie...

Ten, który stał przede mną był inny. Niski i drobny. Szary garnitur, prochawiec i wypchana teczka wyglądały zupełnie pospolicie. Jedynie twarz — choć postarzała, pokryta pajęczyną zmarszczek, coś przypominała.

— Przepraszam, czy towarzysz „Śmiały”?

Spojrzał na mnie, wyraźnie zaskoczony.

— Nie... To znaczy — tak. Taki był mój pseudonim. Ale od lat nikt mnie tak nie nazywał. Odzwyczyłem się. A wy skąd mnie znacie?

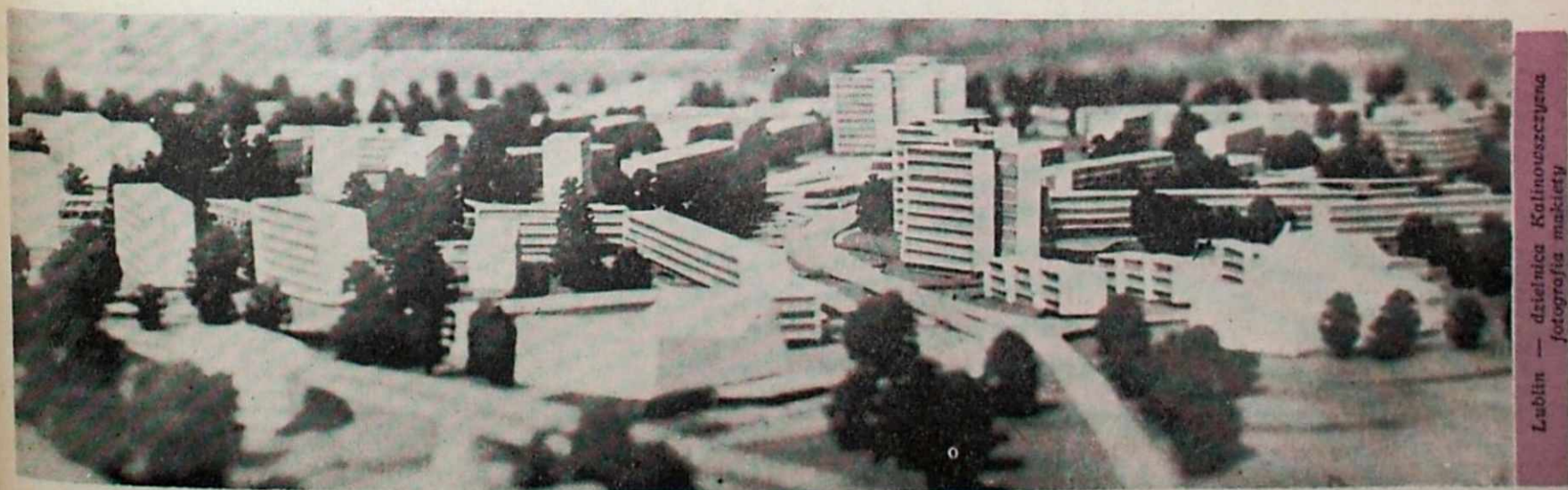
Po godzinie mknęliśmy już szosą w kierunku dawnej „partyzanckiej krainy”. Rozmawialiśmy jednak o sprawach zupełnie marginesowych i błażych. „Śmiały” wyraźnie unikał partyzanckich tematów, dostosowałem się więc do tej niepisanej umowy.

(Dokończenie na str. 8)

budynek do względnie udanych. Przy okazji można wskazać na olsztyński Dom Technika, o tej samej skali, lecz o wiele bardziej interesujący.

W pobliżu miasteczka akademickiego, o przeciętnej, bez wyrazu architekturze, powstanie cały zespół budynków w jakimś sensie spełniających podobne zadanie.

(Dokończenie na str. 2)



Lublin — dzielnica Kalinowska, fotografia makro

Jak się rozbudowuje Lublin

(Dokończenie ze str. 1)

stulaty współczesności pod względem funkcjonalnym i kompozycji przestrzennej. Do nich należy rozbudowywany Dom Studencki Usługowy (Inż. arch. Różycka z Krakowa), budynek Wydziału Humanistycznego zaprojektowany przez inż. arch. Gawdzikę (Lublin) oraz nie istniejący jeszcze gmach Biblioteki Międzyuczelnianej (Inż. arch. Witkowski).

Obydwa zrealizowane już gmachy dodatkowo kontrastują z zastaną zabudową Wydziału Mat-Fiz-Chem. UMCS z jednej strony a blokami akademickimi z drugiej.

Osiedla mieszkaniowe Lublina istniejące i będące w trakcie budowy przedstawiają różne typy koncepcji urbanistycznych i architektonicznych. Charakteryzują się zabudową blokową wolnostojącą, powiązaną dominantami punktowych.

Osiedle LSM, którego projektant inż. arch. Haczewski otrzymał nagrodę KBUA za r. 1962, pod względem urbanistycznym udane, aczkolwiek nie nowatorskie, od strony architektonicznej ukazuje elewacje spokojne, o udanej kolorystyce, szczególnie w pierwszej części. Osobista kontrola wykonawstwa prowadzona przez projektodawcę zapewniła osiedlu estetykę wyglądu i dobre wykonanie poszczególnych partii budynków.

Niezwykle zapowiada się nowe Osiedle Słowackiego budowane w pobliżu wyżej wspomnianego. Projekt prof. Hansena (Warszawa) oryginalny architektonicznie przewiduje budowę długich budynków falisto powyginanych. Wysuwany pod jego adresem zarzut wydziwiania i ryzykownego eksperymentu wydaje się nieuzasadniony, jeżeli wziąć pod uwagę wartość dotychczasowych prac tego architekta i fakt, że budynki o podobnych rozwiązaniach zdały egzamin na Zachodzie, który nie znajduje się przecież w arriergardzie architektury światowej.

O wznoszonym osiedlu na Tatarach można śmiało powiedzieć, że należy do najbardziej udanych w Lublinie, a wartość jego leży w łączącej się z terenem koncepcji urbanistycznej i rozwiązaniu kolorystycznym elewacji. Te ostatnie pokryte szarym tynkiem, który będzie stanowił tło dla kolorystycznych detali, urozmaicają przeszły i załamania całych budynków. Gradacja kolorystyczna powiąże poszczególne budynki w jedną urbanistyczną całość. Budowa ostatniego sektora osiedla zostanie zakończona w r. 1966. Całość realizowana z prefabrykatów została zaprojektowana w lubelskim „Miastoprojekcie”, w zespole pod kierunkiem dr. Androsiuka i inż. Makowieckiego (oba z Warszawy).

Drugim zespołem godnym uwagi jest osiedle przy ul. Róży Luksemburg. Urozmaicone warunki terenowe (skarpa) dały możliwość zbudowania zespołu mieszkaniowego o niemonotonnym charakterze, mimo zastosowania budynków sekcyjnych, powtarzalnych, z dominantą niewysokich (5 kondygnacji) punktowych. Jedyne zastrzeżenie może budzić stosunkowo niska zabudowa, bo 3-kondygnacyjna budynków sekcyjnych. Tak dogodny teren można było wykorzystać bardziej efektywnie! Innego rodzaju mankamentem jest brak usług, mimo że osiedle zamieszkuje już kilka tysięcy ludzi. Mały pawilon handlowy, który oddany ma być do użytku pod koniec roku, na pewno nie rozwiąże zagadnienia. Osiedle zaprojektowali architekci z Warszawy.

Najlepszymi kolorystycznie i udanymi pod względem architektonicznym są budynki osiedla przy ulicy Głębockiej (Inż. arch. Ingarden — Kraków). Spokojna kolorystyka oparta o neutralną szarość eternitowych płyt stwarza harmonijną i lekką całość, składającą się z budynków punktowych (do 9 kondygnacji) i długich, niższych. Jedyne obawy wzbudzają projekty nowych budynków, które nie będą posiadały okładzin z płyt eternitowych. Kolorystyczna całość osiedla straci na tej eliminacji, może doprowadzić do swoistej dezintegracji estetycznej. Drugie zastrzeżenie budzi fakt, że pierwsze budynki były wykonywane w betonie jednofrakcyjnym, a następnie realizuje się metodą tradycyjną. Czy naprawdę Lublin nie może zdobyć się na nowe, postępowe i w końcu bardziej ekonomiczne metody budowa-



Lublin z lotu ptaka

Fot. A. Polakowski

Gdy Lyck stał się Elkiem

ZOFIA BOLESŁAWSKA

KIEDY w karczmie „Pokrzyk” pod Elkiem pan Andrzej Kmicie napotkał Imć Rzędziana i prowadził z nim dyskurs — jakbyśmy dziś rzekli — dyplomatyczny, nie śniło mu się na pewno, jakie koleje losu pisane są temu skrawkowi ziemi.

Zagrabiając Prusy Wschodnie Niemcy z Łąku zrobili Lyck.

I oto mamy schłodne miasteczko Lyck, które liczy przed wojną 14,5 tys. ludności. Położone daleko od ośrodków przemysłowych Rzeszy gra ono jedynie rolę centrum administracyjnego terenów mazurskich. Sytuacja gospodarcza tego miasta nie rokuje rozbudowy. Z racji jego administracyjnego charakteru jest tu więcej Niemców, a mniej Mazurów, niż w innych miasteczkach Pojezierza. A Niemcom tujejszym nie oplaca się inwestowanie w przemysł. Jedyne miejscowym surowcem jest drzewo i glina. Toteż dookoła wybudowano sporo niewielkich cegielni, w mieście czynnych jest 5 fabryczek wyrobów drzewnych.

Stare kroniki wymieniają dwie nazwy osady handlowej położonej na szlaku bursztynowym: Łąk i Elk. Gdy się mówiło „w Łąku”, fonetyczne brzmienie przekształcało się na „w Elku”. Po wyzwoleniu miasta w 1945 r. pozostała nazwa Elk.

Początki polskiej gospodarki w Elku nie były łatwe. Pokutowała tu jeszcze wieść o legendarnych 5 latach, które wytrzymał każdy osiedlony w „Ostpreussen” Niemiec, po czym szybko zmiatał „nach Vaterland”, gdyż tujejszy klimat mu nie służył. Widocznie jesteśmy bardziej wytrzymałym narodem: Elk roi się od ludzi mieszkających tu już całe 18 lat.

Dzisiejszy Elk liczy 24 tysiące ludności, w roku 1980 cyfra ta wzrośnie do 50 tysięcy. Siła przyciągania tego miasta jest tak wielka, że raczej broń się ono przed nowymi przybyszami, niż zabiegać o nich. A nie zapominajmy, że powiaty mazurskie Białostoczczyzny, tzw. powiaty EGO, a więc Elk, Gołdap, Olecko odznaczają się najwyższym przyrostem ludności. 47% mieszkańców Elku — to młodzież do lat 19 i dzieci. Obywatele już tu urodzeni. Tutejsi.

W pogodną wrześniową niedzielę 1958 r. odbyła się w Elku pierwsza uroczystość na skalę krajową; odsłonięcie pomnika mazurskiego patrioty i ludowego poety Michała Kajki. Pomnik dłuta rzeźbiarki olsztyńskiej B. Świtycz - Widackiej przedstawia poetę z rodłem w dłoniach (symbol walki Mazurów z germanizacją) oraz zapartymi wien dziećmi u stóp. Na uro-

czystości przybyło wielu gości z siedmiu województw i ze stolicy. Elczanie poczuli się gospodarzami. W powojennych osiedleńców, pochodzących z różnych stron Polski, z Litwy z Białorusi, i więź polskiego Elku — rdzenną ludnością tego terenu — Mazurami — uzyskała wymowny symbol w postaci tego pomnika. I tak stało, że w tym okresie następuje przerwę w życiu gospodarczym miast powiatu.

Sąsiadujące z powiatami mazurskimi powiaty województwa białostockiego przedwojennej „Polski B”, są w szczególności w sytuacji gospodarczej. Toteż w pierwszych latach po wyzwoleniu dotacje państwa przeznaczone na Białostoczczyznę wykorzystywane były w szczególności przez stolicę województwa i najbardziej zaniedbane jego kąty. Teraz przychodzi kolej na powiaty mazurskie, przede wszystkim na Elk. Rozpoczynają się inwestycje. Powstają nowe zakłady produkcyjne. W sferze przemysłu wstępuje budownictwo mieszkaniowe. Jak grzyby po deszczu pojawiają się jedno i dwurodzinny domki indywidualne. Popularne dotychczas określenie „w Polsce”, oznaczające tereny sąsiednich powiatów grajewskiego i suwalskiego w odróżnieniu od „niemieckiego” Elku — zmieniło się w gwary miejscowej. Elczanie czują się już u siebie.

Niemcy nie doceniali walorów turystycznych Garbatych Mazur. Urok tym ziem, malowniczość wód, pogodny wzniesień, lasów ciągnących się k...

(Dokończenie na str. 8)

NOWE FORMY PRACY LUBELSKIEGO ZSP

MIROSLAW DERECKI

Kiedy podczas rozmowy z przedstawicielem Komisji Kultury przy Radzie Naczelnej ZSP, Marianem Grzeszakiem, zadaliśmy pytanie: „Jak Rada Naczelna ocenia obecną działalność kulturalno-społeczną lubelskiego środowiska studenckiego?” — odpowiedź brzmiała: — „Jest to w tej chwili próżne pytanie; środowisko; szczególnie dynamicznie się w ostatnim półroczu, charakteryzuje je podejmowanie szeregu śmiałych i nowych inicjatyw”. Te nowe inicjatywy to w działalności środowiskowej przede wszystkim współpraca z lubelskim Wojewódzkim Domem Kultury w prowadzeniu Studium Kultury Teatralnej (którego więcej niż połowa słuchaczy studiuje na lubelskich uczelniach), Uniwersytet Spraw Ciekawych działający przy Domu Akademickim-Usługowym w Miasteczku Akademickim, klub miłośników muzyki poważnej „Pro musica”, organizowane przez grupę „literacką „Prom” konkursy poezji, ambitne przedstawienia teatryków „Gong 7.30” i „Dren 59”, wreszcie ostatnio Tydzień Kultury Studenckiej, zorganizowany pod hasłem „Studencki — Lublinowi”, którym studenci zapoczątkowali niejako Dni Lublina, nie mogąc w

samych Dniach brać czynnego udziału w związku z odbywającą się w tym czasie sesją egzaminacyjną. Tak pokrótce wyglądały sprawy ściśle „studenckie”.

Jednak od pewnego czasu, w lubelskim Zrzeszeniu Studentów Polskich daje się wyraźnie zauważyć zupełnie nowy kierunek działalności kulturalno-społecznej. Kontynuując „tradycyjne” formy pracy, a więc wspomnianą wyżej działalność kulturalno-artystyczną, organizując cały szereg akcji społecznych, takich jak np. wyjazdy studentów do wsi i miasteczek województwa w ramach akcji „bitych”, „zielonych niedziel”, współpracując z Związkiem Młodzieży Wiejskiej w prowadzeniu tzw. „szkół zdrowia” na wsi, prowadząc akcje porządkowe na terenie Miasteczka Uniwersyteckiego (ostatnio oddział dzieł smiergo tylko UMCS „uporządkował” około 12.000 m kw. powierzchni pod trawniki, zasadził ok. 800 krzewów i drzew, zobowiązała się do wykopania rowów, których zostanie ułożony kabel elektryczny, umożliwiający zainstalowanie w najbliższym czasie na terenie Miasteczka kilkunastu lamp jarzeniowych”); z udziałem Okręgową ZSP coraz częściej wychodzi poza granice województwa lubelskiego, w tym właśnie w Lublinie odbywały się ostatnio Ogólnopolska Konferencja Absolwentów Wyższych Uczelni Rolniczych poświęcony zadaniom i pracy absolwentów w Państwowych Gospodarstwach Rolniczych. Pierwsze Ogólnopolskie Studenckie Seminarium Cybernetyczne, w które Lublinianin studentem Rada Naczelna ZSP zlecił zorganizowanie przyjazdu do Polski studentów 120-osobowego bułgarskiego chóru studenckiego im. Georgi Dimitrowa. Szczegół...

(Dokończenie na str. 11)

Ireneusz Jan Kamiński

Gdzieś w powiecie

JERZY GEMBICKI

TEGOROCZNE Dni Oświaty, książki i Prasy poprzedziły obrady sejmiku działaczy kulturalnych z powiatów, przybyłych do Warszawy, gdzie przedyskutowano wstępne sprawy organizacyjno-programowe pracy oświatowo-kulturalnej na wsi, w małych miasteczkach i osadach robotniczych. Właśnie te miejsca oddalone od centralnych instytucji kulturalnych stają się przedmiotem naszego zainteresowania, naszej troski i naszych akcji, rozpoczynających się w czasie obchodów Dni w r. 1963.

Niedawno rozmawiałem z pisarzami, którzy w ostatnich miesiącach wędrowali po kraju z wieczorami autorskimi. Dzieliłi się swoimi wrażeniami. Stanisław Wygodzki, Mieczysław Jastrun, Lesław Bartelski, Anatol Stern byli wprost oczarowani ludźmi, którzy w małych miasteczkach prowadzą aktywną działalność w domach kultury, bibliotekach i klubach. Wyrażali również podziw dla zaskakująco wysokiego poziomu audytorium, chłonności i inteligencji publiczności interesującej się żywo literaturą i sztuką. Nawet gdyby przyjąć, że ta reakcja została spowodowana szczęśliwym przypadkiem natrafienia na kilka czy kilkanaście pozytywnych zbiorowisk prowincjonalnych, nie da się przeczyć już dzisiaj ukryć samego zjawiska o charakterze ogólniejszym, świadczącym o tym, że w Polsce dokonuje się istotnej wagi rewolucja kulturalna. Nawet jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że istnieją jeszcze białe plamy na mapie kulturalnej, to coraz więcej konkretnych faktów mówi o tym, iż ofensywa w tej dziedzinie nie jest urojeniem czy tylko statystycznym optymizmem. Zarówno bowiem ilość placówek kulturalno-oświatowych, jak i treść ich działalności, mają bezsporną wymowę dla dokonującego się procesu upowszechnienia wartości kulturalnych w całym kraju.

Tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy dobitnie niż dotąd akcentują potrzebę rozwoju kulturalnego środowiska społecznych małych jeszcze aktywnych na wsi, w miasteczkach i osiedlach robotniczych. Temu celowi będą służyły wszelkie rezerwy materialne, kadrowe i propagandowe. Oto przykładowo działalność zmierzająca do pogłębienia procesów wychowania estetycznego i kształtowania kultury socjalistycznej. Idzie tu o rozszerzenie form dotarcia sztuki do ludzi pracy i umożliwienie bezpośrednich kontaktów z twórcami na wsi i w zakładach produkcyjnych. W związku z tym powstała inicjatywa konkursu „Wieś bliżej teatru”, który ma na celu upowszechnienie sztuki teatralnej wśród ludności wiejskiej. Zadania konkursowe podejmują koła ZMW, kółka rolnicze, GS, szkoły, świetlice, kluby, domy kultury, biblioteki, amatorskie zespoły teatralne. Równocześnie zawodowe zespoły dają w terenie szereg koncertów, uruchomione będą kiermasze sprzedaży dobrych reprodukcji malarzy polskich i obcych, jak również organizowane wystawy sztuki współczesnej: malarstwa, grafiki, rzeźby, tkanin, ceramiki artystycznej. Te doraźne akcje będą miały dalszą swoją kontynuację w zamierzeniach przedstawionych przez ministra kultury na wspólnych już obradach działaczy kulturalnych z powiatów. Minister Galiński powiedział m. in.: „Poza sferą naszych przemysłów nie można pozostawić należytego wykorzystywania zawodowych instytucji artystyczno-widowiskowych. Rosnące potrzeby kulturalne obywateli naszego kraju i konieczność niwelowania różnic między wsią, małym miasteczkiem a dużym ośrodkiem kulturalnym, wymagają bacznego zwrócenia uwagi i na tę sprawę... Współpraca domów kultury i świetlic z zawodowymi instytucjami i placówkami kulturalnymi jest sprawą nieodłączną. Równolegle musimy również podjąć wysiłki, by kina, teatry oraz instytucje muzyczne stały się aktywnymi ośrodkami upowszechniania kultury. Wychodziły na spotkanie widza, słuchacza — przy czynnej pomocy

w elementach przegony powiew na dachach strzelających jak pacierz noc czarna jama niewidzialni trzepocą orłowie zamość zamość

— pisał Józef Czechowicz w wierszu „provincia noc” („Dzień jak codzień”, 1930). Ten obraz został w wyobraźni poetycką aluzją ukazując Zamościa patynę historyczną. Nie sposób też mówić o „Pawie północy” nie zastrącać o jej metrykę, która sama jest kartą w historii polskiego Renesansu. Dni Zamościa, jakie obchodziliśmy od 1 do 5 czerwca br., dają okazję do zatrzymania żywej uwagi nad obrazem tego miasta-muzeum.

„Aktem erekcyjnym” Zamościa była umowa między jego fundatorem, kanclerzem Janem Zamojskim, a włoskim architektem i przedsiębiorcą budowlanym Bernardem Morando spisana dnia 1.VII.1578 r. w przedmiocie budowy miasta. Nadzorcą robót został Maciej Topornicki. Zaczęło się od... braku cegły. Wiosną 1579 r. wszystko było przygotowane prócz tego materiału budowlanego, tak więc dzisiejsi wykonawcy mają możliwość odwołania się do samej tradycji historycznej. Również — administratorzy budownictwa zmuszeni niekiedy do „ominięcia” pewnych przepisów. Oto sam Stefan Batory w imię sprawy Zamościa łamie praworządność dnia 11.II.1580 nakazując chłopom — poddanyom starostwa zamechskiego wykonywanie prac na prywatnym gruncie kancelarza. Złorzeczy przedstawieli mu wyzyskującej klasy... królewskiej? Błogosławić za wkład w Milenium? Niech się spierają specjaliści od naświetleń. Zamość stał się faktem jako jedno z ostatnich już wieleń Renesansu w Europie. W architektonicznej formie

placówek kulturalno-oświatowych rad narodowych, organizacji społecznych i zakładów pracy”.

Te zamysły świadczą najlepiej, jaką drogę przebyliśmy w rozumieniu naszych zadań w upowszechnieniu kultury. Jak wyraźny stał się już proces integracyjny, jeśli chodzi o kształtowanie się modelu kulturowego w kraju przechodzącym na coraz wyższy poziom industrializacji cechujący współczesny świat cywilizacji techniczno-urbanizacyjnej. Stąd właśnie w zasięgu dyskusyjnym może stanąć i staże już problem wszelkich ruchów amatorskich, form regionalnych i cech partykularnych pewnych rejonów kraju nasyconych i eksploatujących jeszcze dawne wzorce życia kulturalnego. Jest więcej niż pewne, że twórcy i działacze kulturalni będą musieli to co cenne w tradycyjnym dorobku zachować we właściwej formie, nie hamując jednocześnie dopływu tego co jest wspólne w ogólnym obiegu kulturalnym całego kraju i co poprzez masowe środki komunikacji dociera już prawie wszędzie; i na wieś i do małego osiedla. Zadania te tym lepiej staną się zrozumiałe, jeśli sobie uprzytomimy fakt, że obecnie mamy 700 tysięcy osób z wykształceniem wyższym i średnim. Potrzeby gospodarki narodowej wymagają, aby do roku 1980, a więc w ciągu 17 lat, zwiększyć tę liczbę więcej niż trzykrotnie. Tej nowej fali światłych obywateli musi służyć nowa sieć bibliotek, teatrów, kin, sal koncertowych, coraz intensywniejszy i pełniejszy ruch intelektualny i artystyczny w całej Polsce. Dotychczasowe rezultaty w tej dziedzinie — mimo wielu na pewno niedociągnięć i pomyłek — upoważniają nas do realnej oceny możliwości na przyszłość. Ocena ta nie wypadnie niekorzystnie, chociaż jeszcze wiele wysiłków, nakładu pracy i środków materialnych potrzeba na to, aby pojęcie „gdzieś w powiecie...” przestało sugerować zaniedbaną prowincjonalną dziurę, zacoфанą kulturalnie i cywilizacyjnie w stosunku do wielkich miast. A przecież już obecnie „gdzieś w powiecie” świetlice, kluby i domy kultury zorganizowały blisko 300 tysięcy różnych imprez oświatowych i artystycznych, w których uczestniczyło 30 mln osób (dane z roku ubiegłego). „Gdzieś w powiecie” (Trzciana, powiat rzeszowski) z inicjatywy inteligencji wiejskiej, ze sporadycznych odczytów, narodził się uniwersytet powszechny, działający już dzisiaj na całe środowisko. Ludność miejscowa organizuje stale wycieczki do Rzeszowa na przedstawienia i koncerty, zapraszając do siebie zespoły zawodowe na gościnne występy. W czynie społecznym zgromadzone już ponad 100 tysięcy cegieł i pieniędzy na budowę sali widowiskowej. A przecież takich placówek w kraju jest wiele. Właśnie — „gdzieś w powiecie...”.

RENEZANS RENESANSU

ZYGMUNT MIKULSKI

sztuki gromadząc treści naukowe, dydaktyczne i wychowawcze: rok 1580 — powstanie szkoły średniej (kierowanej przez Szymona Szymonowicza), rok 1594 — budowa słynnej Akademii Zamojskiej. W owym czasie można już było urządzić bankiet z okazji piętnastolecia słynnego polecenia Zamojskiego: „Niech mi malowanie rozmiernie placu na miasteczko posie Bernardo”.

Los Zamościowi był przychylny polowicznie. Wprawdzie ominęły go klęski dziejowe XVIII w., nie ominęły jednak pożary. Zapewne po pierwszym z nich, w r. 1633, przybyły jego architektury attyckowe zwieńczenia i dekoracje stiukowe zawierające motywy renesansowe i wczesnobarokowe — włoskie, niderlandzkie i orientalne. Pożar drugi, w r. 1658, był powodem dalszej rozbudowy miasta ożywającego wraz z ruchem handlowym i migracyjnym. Cechy najbardziej typowe dla architektury XVII w. zachowały 5 kamienic północnej pierzei rynku z pięknymi snycerskimi oddobami i barwami bogatych polichromii.

Zamość Anno 1953? Coraz uparciej w kołach konserwatorów i historyków sztuki krąży widmo stwierdzenia: „Zamość się wali”. Trzystuletnie mury oblegane przez czas domagają się odsieczy ze strony współczesności. Zabytkowy Zamość w znacznej części został zatrzymany w swym rozwoju na etapie „historycznym”: szereg urządzeń komunalnych pamięta czasy Moranda. Dla wielu mieszkańców jedynym akweduktem jest studnia na rynku. Jest w tym smaczek egzotyki, jeśli wodę się czerpie na modłę sprzed trzystu lat, ale dzisiejsza mieszkanka Zamościa choćby przez poszanowanie historycznego autentyku wolałaby nie posługiwać się nim na co dzień. To samo odnośnie innych urządzeń powszechnego użytku. Nie wypadła o tym przy Dniach? Cóż, Dni to imieniny miasta, a życzenia, jeśli mają zawierać jakąś życziwość, muszą mieć związek z realnym stanem rzeczy. Inaczej popadają w obojętność „wszystkiego najlepszego”.

Są znaki w komisjach i ministerstwach, że „Padwa Północy” nie zostanie sam na sam z zębem czasu. Zachodzi jednak potrzeba wytyczenia prawidłowej linii rekonstrukcji między postulatami zabytkowej architektury, a dzisiejszymi potrzebami mieszkańców. I nie jest chyba zatręceniem właściwych proporcji, jeżeli w tym wyścigu teraźniejszości z historią życie zyskuje koszulkę lidera. Trzeźwa ocena sytuacji każe widzieć, że stan zniszczenia przeszło połowy zabytkowej części miasta sięga 70 proc., że wydatek na renowację znacznie przekroczy koszt budowy nowych obiektów, że znajdujemy się w okresie, kiedy poważne ograniczenia dotyczą budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego. Czy więc żegnaj, Renesansie? Nie, Renesans otrzyma coś około 50—60 milionów złotych polskich z funduszy Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, czym do roku 1965 wyre-

możuje się mieszkanią część zabytkowego kompleksu, zainstaluje wodociąg, kanalizację, oświetlenie. Pięć przyszłości to prace po roku 1963, kiedy przystąpi się do dalszych usług na rzecz tradycji ze strony współczesnego tyńku i żelbeta.

Tenże współczesny tynek jest już widoczny w dzielnicy mieszkaniowej „Na plantach” przy ul. Róży Luksemburg. (Nawiasem: w czasie Dni będzie otwarta w Muzeum wystawa związana z postacią tej rewolucjonistki, której Zamość był miastem rodzinnym). Z ogólnego planu 2500 izb 19 bloków, a więc 1500 izb już jest gotowych. Tutaj jednak miejsce na przykrą dygresję: ogółem w pięcioletce ma stanąć 1470 izb, z tego 1170, a więc prawie 80 proc. w latach 1964—5, co nie jest proporcjonalnym nasileniem robót. Trudność potęguje się przez to, że w r. 1963 LPBM, a więc główny wykonawca w ogóle schodzi z terenu Zamościa pozostawiając budowlaną sztafetę nie przygotowanemu Budownictwu Przemysłu Terenowego i Miejskiemu Przedsiębiorstwu Remontowo-Budowlanemu, w którego „profilu” tego rodzaju prace w ogóle się nie znajdują. Tak więc dzisiejszy Zamość ma problemy nie tylko z podcieniami i cieniami historii.

Ale oprócz Zamościa historycznego i mieszkaniowego jest jeszcze Zamość przemysłowy. Przemysł przez szacunek dla tradycji, która zajmuje centrum miasta, usadowił się na peryferiach. Buduje się wielkie zakłady mięsne z konserwarnią, gdzie produkować się będzie eksportowe szynki. Jest to największy zakład Zamościa, o zatrudnieniu liczącym 1200 pracowników. Przy ul. Namysłowskiego rośnie budowa wytwórni pasz treściwych. Oprócz starej nowa fabryka mebli, której główna hala produkcyjna o powierzchni 1,5 ha, zostanie ona przekazana do użytku jeszcze w końcu br. W budowie znajduje się przedsiębiorstwo jajczarsko-drobiazarskie, a w budynku dawnej elektrowni powstaje wytwórnia proszku jajowego. Takiego kierunku w rozwoju swego renesansowego cacka nie przewidywał pierwszy inwestor, Jan Zamojski, kiedy szlachetnie włoską architekturą powierzył na użytek subtelnych sztuk i dyscyplin naukowych.

Zamość wczoraj, Zamość dziś, Jutro należy do pianistów i wróżbitów. Ten jednak odcinek drogi, jaki został już pokonany, każe z tym miastem łączyć cechy ośrodka samodzielnie podejmującego trud współczesnego życia. Zamość przestał być wyłącznie gablotką w muzeum narodowej tradycji — nie tracąc oczywiście niczego ze swego uroku owianego duchem przeszłości. Staje się miastem, które nie tylko trzeba pokazywać, ale w którym można mieszkać i pracować. Pierwszych pięć dni czerwca związanych z imieniem Zamościa wyraził to w pieśni, barwie, muzyce. Na chwałę miastu, w którym podpatrzył przez poetę od wieków „niewidzialni trzepocą orłowie”.



E. Andrioli — Kamienica zamojska

WYNIKI wyborów we Włoszech należą do kategorii tych wydarzeń, które oprócz swego znaczenia doraźnego sygnalizują również pewne procesy ogólniejsze, a więc ze wszech miar zasługują na uwagę.

Włochy należą do „wielkiej czwórki” państw zachodnio-europejskich. Ich terytorium jest mniejsze niż Francji, lecz „większe” od NRF i Wielkiej Brytanii. Natomiast ludność Włoch (50 milionów) jest liczniejsza niż Francji i wobec szybkiego przyrostu naturalnego niebawem dorówna, a nawet przewyższy ludność NRF i W. Brytanii. W polityce światowej jednak Włochy w przeszłości nigdy nie odgrywały takiej roli, jak wymienione powyżej trzy mocarstwa. W okresie międzywojennym butna faszyzmu kryła słabość ekonomiczną i zacofanie społeczne kraju. Tradycyjnie Włochy, obok Polski, były głównym w Europie dostawcą masy emigrantów zarobkowych wypędzanych przez nędzę z własnej ojczyzny, czy to na roboty sezonowe do krajów sąsiedzkich, czy też na stałe do obu Ameryk. W pierwszych latach po 1945 r. sytuacja ekonomiczna Włoch była bardzo trudna i znów fale emigrantów opuszczały kraj. Okres ten utrwalony został w licznych filmach ohrzeczonych mianem „włoskiego neorealizmu”. Ale dzisiaj ów tradycyjny obraz Włoch od dawna już przestał być aktualny.

Na ogół jednak utrwalone wyobrażenia zmieniają się wolniej niż rzeczywistość, zdarza się więc, że mówiąc „Włochy” myślimy nadal o kraju zacofanym i ubogim, znacznie słabszym od pozostałych trzech wielkich partnerów zachodnio-europejskich, gdy tymczasem obecnie kraj ten w wielu dziedzinach tym partnerom dorównuje, w wielu dziedzinach jego przynosi rozwój większy.

Kilka przyczyn złożyło się na to, że w okresie 1950—1963 ekonomika włoska w ramach ustroju kapitalistycznego przeżyła okres szybkiego rozwoju. Nie miejsce tutaj na gruntowną analizę tego zjawiska. Niemal rolę odegrała podzielenia ze względów strategiczno-politycznych pomoc amerykańska oraz okoliczność, że zbiegła się ona z procesami likwidacji we Włoszech poważnych jeszcze pozostałości feudalizmu, co zdynamizowało życie społeczno-gospodarcze. Równocześnie istnienie licznej i bojowej partii komunistycznej oraz poważnego odłamu lewicowych socjalistów stało się czynnikiem modernizującym system burżuazyjnych rządów, zmuszało bowiem sprawującą władzę chadecję do podejmowania na dość szeroką skalę zakrojonych reform w sumie korzystnych dla świata pracy. Ze względu na wysoką stopę wzrostu ekonomicznego, wysokie zatrudnienie, masowy odpływ ludzi ze wsi do przemysłu oraz ze względu na wspomniane wyżej reformy, tzw. „cud gospodarczy” Włoch był przez teoretyków kapitalizmu niezwykle reklamowany jako swoisty

wzrost dla krajów opóźnionych ekonomicznie, jako przykład rozwoju na drodze ewolucyjnej, niesocjalistycznej.

I oto w tych Włoszech, gdzie kapitalizm zapisuje na swoje konto dorobek ostatnich lat, gdzie tak potężna jak nigdzie na świecie jest presja kleru, partia komunistyczna odnosi wspaniałe zwycięstwo wyborcze. Co czwarty wyborca włoski opowiada się za komunistami, co piąty głosuje na jedno z ugrupowań socjalistycznych.

Interesujące jest zestawienie zmian w procentach głosów wyborczych na przestrzeni ostatnich 15 lat. W 1943 roku, gdy bliska jeszcze była rewolucyjna fala powojenna i gdy komuniści wraz z socjalistami Nenniego tworzyli jedną listę, otrzymała ona 31,0% głosów, pravicowi socjaldemokraci Saragata — 7,0%. W 1958 roku: komuniści — 22,7%, socjaliści Nenniego — 14,2%, socjaldemokraci — 4,0%. 28 kwietnia br. procenty wymienione w tej samej

SYGNAŁ WŁOSKI

DOMINIK HORODYSKI

kolejności wynoszą: 25,3 — 13,8 — 6,1. Gdy dodamy te cyfry okaże się, że w 1948 r. szeroko pojęte siły socjalistyczne uzyskały 38% głosów, w 1963 r. — 45,2%. Natomiast rządząca bez przerwy od piętnastu lat chadecja, która w 1948 r. dysponowała 48,4% głosów — obecnie otrzymała 38,3%. W okresie pomiędzy ostatnimi wyborami (1958—1963) ponad 2 miliony elektorów z południa kraju znalazło zatrudnienie w przemyśle północnych i środkowych Włoch. Cyfry wyborcze wskazują, że znaczna część młodzieży oraz nowo kreowane oddziały klasy robotniczej, na które szczególnie liczyła chadecja, w większości opowiadają się za zmianami w kierunku socjalizmu.

Komentując to zjawisko „New York Times” pisał: „Jest rzeczą alarmującą, że tak wiele spośród 1,700 tys. młodzieży, która głosowała po raz pierwszy, oddało swe głosy na komunistów... Jest godne ubolewania, że włoski ruch komunistyczny pozostaje większym niż kiedykolwiek wyzwaniem, niemniej jednak jest to fakt”. Jeszcze bardziej alarmistyczny był komentarz angielskiego „Daily Express”, gdzie znalazły się następujące zdania: „Jest jasne, że wielu Włochów opowiada się za przyłączeniem do bloku komunistycznego. Świadomość ta musi wywoływać dreszcz grozy u partnerów Włoch we Wspólnym Rynku”.

Nie wiem, jaki wyłoni się we Włoszech nowy układ sił rządowych. Różne kombinacje polityczne mogą tam

mieć miejsce i na pewno daleko jeszcze do zwycięstwa socjalizmu w tym kraju. Niezależnie jednak od możliwych i trudnych do przewidzenia perypetii politycznych głos wyborców ma niezwykle mocną wymowę. Żadaje on kłam legendzie o stabilizacji kapitalistycznej, o zaniku konfliktów klasowych w miarę wzrostu poziomu gospodarczo-technicznego kraju. Chadecja Adenauera, konserwatyści brytyjscy, de Gaulle i, najbardziej współcześni spośród tych partnerów, chadecy włoscy — to była i jest jeszcze owa ustabilizowana od lat 15, bogata i rozwijająca się Europa zwycięskiej pracy. Promieniowała ona mocno na cały świat kapitalistyczny i, bądźmy szczerzy, nie tylko kapitalistyczny. Sen o „naszej małej NRF”, jak nazwał Różewicz ideały życiowe pewnych naszych, polskich grup społecznych, zrzucił się w niezbyt mądrych głosach pod wpływem sąsiedztwa z taką właśnie Europą. Otóż pojawiają się poważne sygnały, że dotychczasowy układ sił w Europie zachodniej zbliża się ku końcowi, że wiodąc nie realizował on takiej sielanki, jak sądzą u nas niektórzy.

W Wielkiej Brytanii przejęcie władzy przez labourystów wydaje się raczej nieuchronne, we Francji reżim de Gaulle'a opiera się na jednej osobie i, jak świadczą o tym strajki, nie jest zdolny rozwiązać konfliktów społecznych, w „samej” NRF ukazują się rysy osłabiania chadecji i prawdopodobnie jej monopol rządowy dobiega kresu. Dotychczasowa struktura europejska zaczyna pękać, powraca ruch w lewo. Wybory włoskie widziane w tej perspektywie są wydarzeniem doniosłym, szczególnie poprzez rolę, jaką odegrała w nich Włoska Partia Komunistyczna.

Ale sygnał włoski ma też i inne, nie mniej ważne znaczenie. Oto bowiem w trudnych warunkach wielkie zwycięstwo polityczne odniosła ta partia komunistyczna, która w światowym ruchu robotniczym zajmuje wyraźnie określone stanowisko. Włoska Partia Komunistyczna, poczynając od 1956 roku, w niezwykle konsekwentny sposób przeprowadziła rozrachunek z błędami i wypaczeniami, jakie narosły w tzw. okresie kultu jednostki. Komuniści włoscy śmiało podeszli do nowych problemów wynikających z faktu ich działania w wysoko rozwiniętym, zamożnym społeczeństwie. W swej działalności praktycznej i teoretycznej wyzyli się dogmatyzmu i zyskali zaufanie szerokich mas bezpartyjnych, m. in. również związanych z katolicyzmem ludzi pracy, którzy stanowili dotychczas klientelę chadecji. Polityczna i ideologiczna linia Włoskiej Partii Komunistycznej była przedmiotem ostrej krytyki ze strony dogmatycznie nastawionego skrzydła ruchu politycznego. Wyborcy włoscy przesadzili jednoznacznie, kto w tym sporze miał rację.

Tak więc, przynajmniej z dwóch względów, wyniki wyborów we Włoszech ważne są nie tylko doraźnie, lecz również wskazują pewne kierunki rozwoju na przyszłość.

czesnej: Miciński, Leśmian i Staff, każdy otwierający inną drogę.

W gruntownym i obszernym wstępie do antologii autorowie starali się na ogół obiektywnie ukazać główne linie poetyckie dwudziestolecia. Rzeczowo scharakteryzowali poszczególne kierunki, z ich ocenami w zasadzie można się zgodzić. Poza jednym zastrzeżeniem, już wspomnianym. Proporcje tekstu poświęconego zjawiskom pierwszym lat dwudziestolecia, sposób ich przedstawienia, świadczą o tym, że nie doceniają autorowie nurtu awangardowego, a przeceniają osiągnięcia Skamandrytów. Próba obiektywizmu nie powiodła się, ponieważ przyjęto po prostu system hierarchii ustalony oficjalnie przed wojną. Wyobrażam sobie, jakby się radował Zawadzki, gdyby przeczytał wstęp Matuszewskiego i Pollaka. Niemal nie dostrzegli oni zupełnie nowatorstwa Zagarów i ich roli w budowaniu nowej liryki, a już zupełnie spłycone uwagi poświęcili twórczości Czechowicza, w której uwydatnili zaledwie pierwsze znaczenia. Nie sądzę, żeby sobie autorowie z tego nie zdawali sprawy, ale jestem przekonany, że czytelnik, dla którego ten wstęp i antologia będą jedynym źródłem wiedzy o poezji dwudziestolecia, otrzyma obraz nieco fałszywy.

W wyborze wierszy autorowie wykazali sporo obiektywizmu, proporcje są bardziej sprawiedliwe. Ale i tu spotykamy rzeczy zadziwiającej. Nie rozumiem, dlaczego Zagadawicz ma wierszy 11, (niektóre wcale duże), a np. Ilakowiczówna, Stern, Jasiński — mniej, dlaczego Obertyńska reprezentuje 5 utworów, a Jalu Kurka 3, Piętaka 4, Liebert, którego zresztą bardzo cenię, otrzymał miejsce na 10 wierszy, dlaczego więc Zagórski jedynie na 5, a Rymkiewicz na dwa? Honoruje się Baka czy Karpiańskiego, szczerzy się miejsca dla Miłosa.

Przejdźmy wobec tego do jasnych stron antologii. Pierwsza — rozmiary. Zawiera ona ponad 600 utworów. Można zarzucić autorom zbyt łagodną selekcję, ale niemniej stworzyli prawdziwe kompendium poezji współczesnej, zawiera się w ich pracy kanon liryki (utwory satyryczne znalazły się chyba przez nieporozumienie)

NIEMIECKI TEATROLOG O DRAMACIE POLSKIM

W zeszycie 2 tomu 5 Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, tj. w „Zagadnieniach Rodzajów Literackich”, ukazał się pierwszy esej krytyczno-sprawozdawczy znanego eseyisty-krytyka literackiego i dramaturga E. Plomińskiego o ogólnym i bliższym, liczącym bowiem ponad 100 stron, nie dużego formatu, 3-tomowej monografii niemieckiego historyka europejskiego dramatu, Paula Feuchtera pt. „Das europäische Drama”. Plomiński bilansuje znaczenie światła i cienie tego dzieła, nie wyrażając pełnego nieprzejętnych zalet, którego autor wykazał przenikliwą orientację i wspaniałe dzwigniki faktów, zjawisk i kierunków i teatralno-literaturoznawczy. Fechter nie zgubił się w letniej brylancie obfitego materiału, nie przesadził. Przeciwnie, potrafił go usystematyzować, co prawda nie zawsze zadowalająco. Mimo spornych oświadczeń tu i ówdzie, zwłaszcza w historycznej podbudowie, autor, jak również sporny z historią i logiką badacza, cechują „Das europäische Drama” szerokie horyzonty i znajomość. Autor śledzi, między innymi, powiązania teatru i literatury z prądami umysłowymi, z systemami filozoficznymi, wreszcie z determinującym czynnym nurtów historycznych na przestrzeni wieków.

Goźnie przedstawia się rozdział o polskim dramacie. Niemiecki teatrolog wyznał tu zenująca wprost nieznaną historię dramatu. W jego ujęciu historia dramatu polskiego, tak bogatego w talenty — skądinąd, czyli się do twórczości i tylko dramatopisarzy, tj. Z. Krasińskiego, St. Wyspiańskiego, T. Rittnera i St. Przybylskiego — Fechter nie zna języka polskiego, nie mógł więc korzystać z rozległej polskiej literatury przedmiotu. Zastanawia jednak fakt, że z niemieckich dzieł naukowych na ten temat, np. z dzieła znakomitego sinisty, wieloletniego prof. uniwersyteckiego, Aleksandra Brücknera, znanego Polaka „Geschichte der polnischen Literatur”, korzystał raczej powierzchownie, chociaż na dzieło to powołał się kilkakrotnie. Słowem rozdział o polskim dramacie w 3 tomie monografii Feuchtera przynosi zupełny zawód. Stanowi kłopotliwie nieporozumienie, Plomiński wykazuje dokładnie z rzeczownictwem i takimi wszystkimi niedociągnięciami tego rozdziału, przynajmniej, mimo to, dzieło Feuchtera nie posiadało zalety. Niestety książka ta ma zasieg światowy. Informując mylnie czytelnika zagranicznego o faktycznym stanie posiadania polskiego dramatu, staje się narzędziem dezorientacji i co gorsza krzywdzącej literaturę polską recepcji na terenie zagranicy.

dwudziestolecia. Po drugie — cenny jest ogromny materiał informacyjny, bibliograficzny, doprowadzony do ostatnich czasów. Przy tym są także informacje o poetach, których utwory brane były pod uwagę, ale nie weszły do wyboru. Trzecia zaleta — wybór zbliża się do pełności, ponieważ obejmuje także poezję przebywających na emigracji, bez których obraz liryki dwudziestolecia byłby nie do pominięcia. Dotyczy to Wierzyńskiego, Witlińskiego, Miłosa i Czuchnowskiego.

O samej stronie edytorskiej, o przedkach trudno wyrażać się krytycznie, trzeba ufać wydawcom, zresztą przyjęte przez nich zasady budzą całkowite zaufanie. Z jednym wyjątkiem. Jak zwykle chożą i teksty Czechowicza, poety rzeczywiście sprawiałego kłopoty każdemu wydawcy... Teksty Czechowicza ponownie zostały z brzmienia zniekształceniami, zawinionymi przez błędy czerkackie wydań książkowych poety lub przez wydawców jego „Wierszy wybranych”. I tak w utworze „Piosenka czeski domek” powinno być: „światowego wędrowca” zamiast „światowego wędrowca”, prostował to Kłodyński. Nagrzebnie w „Życiu Literackim”, zgodnie z zamiłowaniem w „Arkuszach poetyckim” i „Antologii” ks. L. Zaleskiego. W „Jalu” jeden werset brzmi: „nadciął wtedy jaskółce zamieć”, a powinno być: „nacił” (od naloć). To jest w „nacił” czyli w „cił”, zaś autorowie powtarzają błąd „Wierszy wybranych”, choć powołał się na W. Mik. Trzeci błąd — to początek wiersza u Kazimierza:

ze wzgórz promieniejące
li zielone za dnem
w zmięczeniu piękno kaźmierza
(uzbiera w wonny nadmiar)

Tak wydrukowane jest w zbiorze „Wierszy wybranych” i późniejszych przedrukach. Czuję się tu jednak jakiś zgrzyt, chodzi o słowo „uzbiera”. Kogo, czego? Okazuje się, że właściwa wersja jest: „wzbiera”, zgodnie z autografem, przedrukami i tekstem w „Antologii” ks. L. Zaleskiego, któremu zapewne Czechowicz sam teksty dostarczał. Wreszcie — zbyteczne było opatrywanie wierszy Czechowicz datami tam, gdzie poeta sam ich nie wiał, tym bardziej, że nie praktykują tego wydawcy wobec innych poetów. W przedrukach budzi zdziwienie jeszcze jeden fakt: „Śpiew maszynistów” z „Pięknego i gładkiego” Jasińskiego podany został w ortografii zmienionej, natomiast w utworze Jerzego Jankowskiego pisownia literystyczna autorzy respektują. Gdzieś wieł konsekwencją.

Warto jeszcze spojrzeć na antologię Matuszewskiego i Pollaka okiem czytelnika lubelskiego. Powinno on być w pełni zadowolony. Reprezentowany jest w niej pełny krąg Czechowicza (załuję, że brak Podstawki), jest Arnsztajnowa, Gredniński, Jaworski, Bielski, no a cały tom zamknięty najmlodszy ze szkoły Czechowicza — Jerzy Pleśniarowicz.

Książka Matuszewskiego i Pollaka jest mimo wszystkie zastrzeżenia piękny i siłnagłosem wydawniczym, owocem doświadczeń autorów.

*) Poezja polska 1914—1939. Antologia. Wybór i opracowanie Ryszarda Matuszewskiego i Seweryna Pollaka. W-wa 1960. Czytelnik s. 280.

PANORAMA DWUDZIESTOLECIA

TADEUSZ KŁAK

NEZALEŻNIE od ocen, zastrzeżeń, zarzutów i kontrowersji, jakie spowoduje „Poezja polska 1914—1939”, opracowana przez Ryszarda Matuszewskiego i Seweryna Pollaka, jest duże miary wydarzeniem literackim. Po wojnie ostatniej brak było całościowej próby bilansu dwudziestolecia, a przedwojenne antologie Szczerbowski, Galiński, Czernika oraz Frydgo i Andrzejewskiego, pominiawszy ich niedostępność, są raczej dokumentem czasu niż wiarygodnymi obrazami tamtych lat. Tej ocenie nie podlega tylko poetyka nabrały pewnej ostrości.

Najważniejszą nowości tej publikacji — to przesunięcie ram chronologicznych z roku 1918 na rok 1914. Autorowie uzasadniają tę nowość argumentem, że nowe w poezji polskiej zaczęło się już wcześniej, nawet przed rokiem 1914, a równocześnie chcieli uratować poezję patriotyczną i wojny światowej, analogiczną do liryki o takich motywach w czasie drugiej wojny światowej. W efekcie weszli do antologii, nie licząc Staffa i Leśmiana, późniejsi poeci Młodej Polski i jej epigoni, a przedstawiony materiał uzasadnia błądność dokonanej zmiany. Jeśli chcieli się dać prekursorów dwudziestolecia, to do dzieła nieobecność Tadeusza Micińskiego, który przecież żył w czasie objętych wyborów, a o jego roli dla dwudziestolecia autorzy książki wiedzą doskonale. Autorzy padli więc ofiarą narzuconego sobie schematu. Gdyby wyszli od konkretnych nazwisk, a nie od abstrakcyjnej daty, początek antologii miałby wyglądać zupełnie inny. Otwieraliby wybór cały nazwiska rzeczywiste inicjujące dwudziestolecie (Skamandryci, ekspresjonści, futurysty), a jedynie na prawach wyjątkowych poprzedzałoby je nazwiska prekursorów, torujących ścieżki liryki współ-

ujawnić i wykazać istnienie „Promu”, „Heliolu” czy „Czarłaka”. Dowiedli tego rzeczywiste, ale wybrane utwory świadczą, że czynić tego nie było warto. Do truzimów należy powiedzenie, że w każdym pokoleniu jest najwyższe paru prawdziwych poetów. Niechby to było przesadą. Ale chyba też przesadą jest umieszczenie w antologii utworów około 180 poetów, wydaje się, że zmniejszenie tej cyfry przynajmniej o jedną czwartą nie zaszkodziłoby zupełnie zamierzonym celom: obrazu, przeciwnie — kierunków i orientacji poetyckiej nabrały pewnej ostrości.

Najważniejszą nowości tej publikacji — to przesunięcie ram chronologicznych z roku 1918 na rok 1914. Autorowie uzasadniają tę nowość argumentem, że nowe w poezji polskiej zaczęło się już wcześniej, nawet przed rokiem 1914, a równocześnie chcieli uratować poezję patriotyczną i wojny światowej, analogiczną do liryki o takich motywach w czasie drugiej wojny światowej. W efekcie weszli do antologii, nie licząc Staffa i Leśmiana, późniejsi poeci Młodej Polski i jej epigoni, a przedstawiony materiał uzasadnia błądność dokonanej zmiany. Jeśli chcieli się dać prekursorów dwudziestolecia, to do dzieła nieobecność Tadeusza Micińskiego, który przecież żył w czasie objętych wyborów, a o jego roli dla dwudziestolecia autorzy książki wiedzą doskonale. Autorzy padli więc ofiarą narzuconego sobie schematu. Gdyby wyszli od konkretnych nazwisk, a nie od abstrakcyjnej daty, początek antologii miałby wyglądać zupełnie inny. Otwieraliby wybór cały nazwiska rzeczywiste inicjujące dwudziestolecie (Skamandryci, ekspresjonści, futurysty), a jedynie na prawach wyjątkowych poprzedzałoby je nazwiska prekursorów, torujących ścieżki liryki współ-

O GLADAMY historie literackie o drzewach, które umierają stojąc, historie mimo smutnego tytułu — na dobry sen do poduszki. A czy słyszałeś, czytelniku, o kopalniach, które umierają walcząc?

W samym sercu Kielecczyny wznoszą się łagodne pagory świętokrzyskie. Wiele mają pasm i różnie się nazywają: Klonowskie, Obiegorskie, Lysogórskie. Najstarsze góry w Europie. Turystów przywabia tu piękno krajobrazu, który, nim dotknęły go czasy, istniał już w szkolnej lekturze „Popiołów” i „Szyfowych prac”. Zanurzają się w Puszcze Jodłowej, a po jej urokach ockną się ze wzrokiem wycelowanym w ruiny dawnych kuźnic i drutarni. Sięgają po przewodnik i już wiedzą, że to Bobrza, ongiś fabryka mierzająca w czołówkę europejską pierwszej połowy XIX wieku, albo Brody Ilzeckie, Stępią lub Nietulisko Fabryczne. Wszystkie razem to Zagłębie Staropolskie, kolebka naszego przemysłu. Ale czasem wędrowcy wejdą w obręb zabudowań, za którymi tętni życie. Szyby, kolejka wąskotorowa. Karmieni w gazetach nazwami Kędzierzynów i Płocków objętnie dowiadują się, że przeszli obok „Edwarda”, „Starej Góry”, albo „Majówki”. A przecież w Górach Świętokrzyskich istnieje autentyczne zagłębie górnicze. W ciągnących się kilometrami chodnikach, na ścianowych przodkach pracują ludzie. Na światło dzienne wyjeżdżają setki wagoników rudy żelaza.

Tak było tu od niepamiętnych czasów. Najpierw bez szyn i wielkiej mechanizacji. Zanim jeszcze zrodziła się gwarkowie, starożytny Słowianin tych ziem uzbrojony w drąg odrywał darń porastającą grunt. Płytko pod nią znajdował niebogata rudę żelazną. Nie wiedział, że jego dalecy potomkowie nazwą ją limonitem, ani nie miał pojęcia, że jego odruchowe praczynności określi się kiedyś mianem pierwotnej technologii wydobywania. Po prostu pukał rudę w wodzie podskórnej, która natychmiast pojawiała się na wyrobisku, a potem budował drewniany pomost i suszył na nim swoją zdobycz. Ruda była tu wszędzie, więc fach się doskonalił. Człowiek stawał się gwarkiem, aż został górnikiem, tak jak jego towarzysze z kuźników wyrosli na hutników, a z kowali na metalowców.

Dlaczego jednak kopalnie umierają? Stąporków, w którym mieści się zarząd niewielkiego dziś Staropolskiego Zagłębia rud żelaznych, to nie Kitunawara. Świętokrzyski syderyt ze swoimi dwudziestu kilku procentami zawartości Fe, to nie szwedzka ruda sięgająca 70 procent czystego żelaza. Ponadto w świętokrzyską rudę, która widzę się cienkimi pasmami, wżarły się ility krzemianowe. Hutnicy Śląska, póki musieli z tego tylko żyć, choć skrzywnieni na trudności wytopu — wtykali tę strawę wielkim piecom. Zaczeli jednak szemrać, kiedy Krzywy Róg dał

KOPALNIE UMIERAJĄ WALCZĄC ANDRZEJ MAŁACHOWSKI

im posmakować lekkiego życia. Ukraińska ruda jest bogata, więc łatwa.

Tak zaczął się zmierzch Zagłębia. W zjednoczeniu ołowiki poszły w ruch. Najważniejszy z argumentów wytykał rudzie i kopalniom, że pracują drogą, a surowiec dają lichy. W „Starej Górze” i „Edwardzie” wydobyte jednej tony rudy kosztuje przeszło 800 złotych. Do „Edwarda” dopłaca się rocznie około 50 milionów złotych. Czy mamy się rujnować?

I w socjalizmie może się zdarzyć, że fabrykę skazuje się na śmierć. Odbylimy sąd nad taką w Kielcach za to, że produkuje w środku miasta kwas siarkowy. Ale to nie czasy „Germinalu”. Likwidacja, choćby najlepiej uzasadniona, zawsze spowija się w jakiś wstyd. Czy ktoś nie powie, że w Polsce zamykają warsztaty pracy? Otworzy się nowych dwadzieścia, a dwa trzeba zamknąć. Dla ludzi dobrej woli — rachunek nie wymaga komentarza, dla wrogów — komentarz wystarczy za rachunek.

A ludzie, górnicy? To nie czasy „Germinalu”. Nad „Edwardem” gromadzą się wprawdzie chmury, ale ludziom nie może spaść włos z głowy. Resort jest przewidujący:

Na zachodzie budujemy zagłębie miedzi. Brak nam ludzi, a wy jesteście górnikami z dziada pradziada. Przeniesiemy was, choćby wszystkich ośmiuset, z waszego „Edwarda” na nowe mieszkanki i lepszą placę.

Górnicy słuchają osłupiali. Byt, choć ważny, nie zawsze ma ostatnie słowo. A ta Ziemia Świętokrzyska, te pagórki obrośnięte lasem mają być tylko początkowym przystankiem kolei, która zawiezie ich na zachód? Po prostu mieliby wysłać któregoś dnia na stację Lubin — Miedź, czy jak jej tam? Górnicy nie chcą się ruszyć. Zrozumieli ich turysta, który choć raz przemierzał tę krainę.

Może nikt tego jeszcze tak nie nazywał, więc niech mam zaszczyt pierwszeństwa. Świętokrzyscy górnicy od kilku już lat prowadzą zaciętą walkę o uratowanie swego zagłębia. Nie jest to przekora panny młodej. Walczą uparcie, własną pracą, bo wierzą, że dzień, w którym świętokrzyska ruda okaże się opłacalna, wcale nie jest daleki. Etapy tych zmagani obfitują w momenty godne XX-wiecznego dramatu, rozgrywanego w atmosferze techniki i ekonomii.

Tadeusz Piorun jest inżynierem i głównym geologiem kopalni. Gdy mówi, jego palce nie zaznają spokoju, a twarz błędnie i czerwienieje na przemian.

Bledna ruda musi kosztować drożej, lecz niech nikt nie obarcza nas grzechami, do których nie możemy się przyczynić. „Niedoinwestowanie” to termin, który na pewno słyszał pan nieraz, ale czy zetknął się pan z „preinwestowaniem”? Właśnie nas przeinwestowano. W latach pięćdziesiątych Polsce marzyła się samowystarczalność surowcowa, a że był czas fasadowości, więc nasze kopalnie rozbudowywano z błichtrem MDM. Przed wojną wybiegano tu rudę możliwie najtańszymi sposobami, my zaś chcieliśmy od razu budować socjalistyczne pałace pracy. Wieże, rzyby, masa urządzeń. Koszt tego obciąża teraz każdą tonę rudy. Narzut amortyzacyjny — to nasz arszenik, którym zatrujemy się od lat. To nie frazesy. Żeby udowodnić swoje racje, sami, sposobem na wpół gospodarczym, zbudowaliśmy całą kopalnię. To właśnie „Majówka” uruchomiona przed czterema laty. Zadnych cudów inwestycyjnych i ozdóbek! Kosztowała 3 miliony zł, podczas gdy jej poprzedniczki — po 80 mln. A daje rudę za cenę o połowę niższą niż tamte. W zjednoczeniu dobrze o tym wiedział!

W zjednoczeniu ołowiki obstają przy swoim. Dobrze, że jest już taniej, ale przecież ciągle nie jest tanio. Szykuje manatki! Nie będziemy was bez przerwy karmić dotacjami!

Tak rozpoczął się drugi etap walki. Górnicy pracowali zaciekle. Zmechanizowano wszystkie prace, by tak drogie narzędzie, jakim są ludzkie ręce, najrzadziej imaly się czarnej roboty. Koszty spadły. Równocześnie gorączkowo szukano nowych argumentów. Górnicy, niby mistrzowie dialektyki, chwylił za oręż, którym najchętniej wdał sam przeciwnik.

Wokół kopalni ciągną się hałdy przekłetych ilów krzemionkowych, które trzeba było oddzielać od rudy. Zjednoczenie ciągle pokazywało to jak wyrzut sumienia. Inżynier Piorun przewodniczył wtedy radzie robotniczej i pewnego dnia zapoznał ją ze swym odkryciem. Ily zawierają około 30 proc. tlenków glinu, co dowodzi, że nadają się do produkcji materiałów ogniotrwałych.

Zaczął się ruch. Próbkę poszły do Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach. Zle wieści: materiał nie nadaje się na okładziny pieców hutniczych. Próbkę poszły do Zjednoczenia Przemysłu Ceramicznego: hurra, świetny materiał ogniotrwały! Wreszcie z Anglii, gdzie mieszczą się najlepsze laboratoria surowców ceramicznych, nadchodzi wiadomość: tak, to materiał wysokiej klasy. Górnicy triumfują. — Przekwalifikujcie nas — pokpiwają

teraz. — Za tonę surowej rudy żelaznej placą nam 80 zł, zaś tona materiału ogniotrwałego kosztuje 350 zł. Będziemy rentowni!

Zjednoczenie szybko zgasiło zapały. Ołowek pracuje. W zagłębiu jest ze 20 hałd, których zapasy starczą dla wielkich zakładów ceramicznych na stulecia. Zagospodarujemy Marsa, a ily można jeszcze czerpać bez sięgania po nie w głąb ziemi. W ten sposób wykorzystanie ilów odcięto od spraw rudy żelaznej. Ily przejmie ceramika. Projekt sporej fabryki wyrobów kamionkowych jest już w stadium techniczno-robotycznym. W przyszłym roku ruszy budowa. Dziękujemy górnikom za doskonały pomysł!

Więc palce inżyniera Pioruna nadal nie zaznają spokoju. Rozmawiamy o losach „Edwarda”, najdroższej, więc najbardziej zagrożonej kopalni. Przewodniczący rady robotniczej, jeśli dobrze go rozumiem, pragnie teraz dla „Edwarda” przynajmniej honorowych warunków kapitulacji. Sens nowej taktyki jest następujący:

Ruda wprawdzie biedna, ale ruda. Nauka i technika idą milowym krokiem. Kto zaręczy, że jutro nie znajdziemy właściwych metod wzbogacania kwaśno - ilitych syderytów i nie rzucimy się gorączkowo ku świętokrzyskim sztolniom? Jeśli już zmierzch, to niech będzie tymczasowy. Zamrozimy nasze kopalnie jak owoc, na który dziś nie ma zbytu, ale który w razie potrzeby można rozmrozić.

Żeby to, co mówi Piorun, miało sens, trzeba prowadzić prace badawcze na wzbogacaniem świętokrzyskiej rudy. Nie wiem, komu „dziękować”, że badania podjęte przed laty przerwano niedawno w stadium doświadczeń laboratoryjnych. Grzech tym większy, że o 30 km na wschód, w Żebcu dobiega końca budowa wielkiego zakładu wzbogacania piasków żelazistych. Tam uznano za dobry surowiec — piasek o zawartości kilkunastu procent żelaza, zaś tu pozostawia się własnemu losowi bogatszy syderyt. Może to dobrze, a może źle? Czy ktoś pomyślał, jak by wykorzystać urządzenia Żebca dla wzbogacania rudy z „Edwarda”? Gdyby tak było, kto wie, czy nie moglibyśmy pisać w tym reportażu o zwycięstwie zamiast o honorowej kapitulacji...

Nasz samochód wytaczał się z podwórka Kopalni Rudy Żelaza w Stąporkowie. W pokoju starego budynku zarządu na I piętrze został inżynier Piorun, którego palce bębnią niespokojnie o stół. Z gałboly na ścianie pociesza go zielony sztandar z czarnymi emblematami. Złożone litery napisu głoszą: „Niech żyje nam górniczy stan”.

DZIESIĘĆ LAT



Niewiele jest zespołów amatorskich, które mogłyby poszczycić się tak długą, nieprzerwana pracą i takim dorobkiem artystycznym, jak Zespół Pieśni i Tańca Końskowola. W kwietniu bieżącego roku minęło dziesięć lat od chwili jego powstania.

Początki były trudne. Mało kto wierzzył w to, aby skromny zespół miłośników pieśni i tańca mógł osiągnąć jakieś poważniejsze wyniki. Okazało się, że wbrew pesymistycznym przewidywaniom, Zespół z Końskowoli potrafił zdobyć sobie szybko duże uznanie.

Założycielem i kierownikiem Zespołu jest Kazimiera Walczakowa. Pod jej opieką rozrastała się liczba czynnych członków Zespołu. Wśród najdawniej działających miłośników pieśni i tańca zwrócili na siebie uwagę: Ludwika Wocur, Maria Sikora, Helena Kąsik, Janina Cholań, Janina Bielawska, Irena Polak oraz Jan Mańka, Stanisław Stefanek, Marian Strojek, Edward Wójcik, Jan Wojda i Ryszard Ziółek.

Wspominając o ciężkich początkach pracy Zespołu, podkreślić należy serdeczny stosunek i opiekę Wydziału Kultury WRN w Lublinie, który chętnie służył swoją radą i pomocą w opracowywaniu widowisk oraz w zakupieniu niezbędnych strojów ludowych, instrumentów muzycznych, rekwizytów itp. Dzięki temu zespół mógł wystawić szereg ciekawych i stojących na nie najgorszym poziomie artystycznym widowisk, jak np. „Mówią wieki”, „Powitanie wiosny”, „Sobótka”, „Zagłoba w Końskowoli”, czy „Legenda Powiśla”.

W okresie dziesięciu lat istnienia Zespół Pieśni i Tańca Końskowola dał 500 koncertów w salach teatralnych, świetlicach, remizach strażackich, a także na otwartym powietrzu dla około 200 tys. widzów. Więcej niż połowa

tych występów to koncerty w terenie. Mimo braku własnego środka transportu Zespół był już w 20 miejscowościach województwa, a także w wielu miastach na terenie kraju.

Przez Zespół, który składa się przeważnie z młodzieży wiejskiej, przewinęło się w ciągu dziesięciu lat ponad 150 osób (obecnie jest ich 30). Znajdują się wśród nich tacy, którzy, jak Halina Marcinkowska, Stanisław Rogiński i Wiesław Osiek, w trzysetnym galowym koncercie obchodzili jubileusz dziesięciolecia swej pracy, a wiecznie młoda, pełna entuzjazmu i miłości do folkloru Kazimiera Walczakowa — 25-lecie pracy w amatorskim ruchu kulturalnym.

Zespół niejedną raz zajmował w swej kategorii pierwsze miejsce w eliminacjach powiatowych, wojewódzkich i krajowych. Za dobrze spełniany obowiązek w dziele upowszechniania folkloru powiślańskiego oraz kultury narodowej Zespół Pieśni i Tańca Końskowola był wielokrotnie wyróżniany dyplomami uznania i nagrodami pieniężnymi, m. in. nagrodą artystyczną Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie.

W dniu dziesięciolecia swej pracy artystycznej Zespół otrzymał liczne gratulacje, dyplomy, nagrody i kwiaty od innych zespołów amatorskich, działaczy kultury, władz miejscowych, powiatowych, wojewódzkich i centralnych.

Twórcą zaś Zespołu i wieloletnią jego kierowniczką Kazimiera Walczakowa otrzymała zaszczytne odznaczenie — Złoty Krzyż Zasługi, nadany przez Radę Państwa za wybitne zasługi położone na polu upowszechniania kultury muzycznej regionu lubelskiego.

Stanisław Kozłowski

Hutnicze święto

HENRYK PASŁAWSKI

DWADZIESCIA pięć lat to zaledwie jedno pokolenie. A jednak w tak krótkim czasie wyrosło na Rzeszowszczyźnie nowe miasto, uprzednie nie tak duże jak Nowa Huta czy Nowe Tychy, ale miasto piękne, tonące w zieleni, otoczone sosnowym lasem.

Ręka jakiegoś dygnitarza podpisała dokumenty, że w środku puszczy sandomierskiej, w Polsce „B”, wśród wiosek Lasowiaków powstanie przemysłowy ośrodek. Ręce ludu przekształciły postanowienie w czyn. Ludowa Ojczyzna potroiła liczbę mieszkańców, rozbudowała zdewastowane przez okupanta dwa największe zakłady przemysłowe: Hute i Elektrownię.

Pracowita załoga Huty doprowadziła do tego, że symbol SW, którym sygnuje swoje wyroby, jest gwarancją produktu najwyższej jakości.

Czyste ulice, otoczone ogródkami domy, młodzi i starzy mieszkańcy młodego miasta, najpiękniejszy miesiąc w roku — maj, wybrali na zorganizowanie swojego święta, podwójnego jubileuszu: miasta i Huty „Stalowa Wola”.

Uroczystości rozpoczęły się jeszcze w pierwszych dniach maja, od biblioteki i jej kierowniczkę. Obie obchodziły swoje srebrne gody. Z okazji tej Maria Łukowska, kierowniczka MBP otrzymała szereg nagród; do najcenniejszych należała nagroda Ministra Kultury i Sztuki, biblioteka zaś nową porcją czytelników, których naprawdę w Stalowej Woli nie brakuje.

Finalowym akrodem były obchody Dnia Hutnika przeprowadzone radośnie, przy pięknej pogodzie dnia 12. miesiąca maja 1963 roku.

Długa, bardzo długa była kolumna samochodów wioząca miłych gości. Przybył na hutnicze święto I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie Władysław Kruczek, gorąco i serdecznie witany przez stalowowolan ambasador ZSRR w Polsce Awierkij Aristow, wiceminister przemysłu ciężkiego i b. dyrektor stalowolskiej huty inż. Antoni Czechowicz, sekretarz CRZZ Czesław Wiśniewski, przedstawiciele władz centralnych, województwa, miejskich i sąsiednich powiatów. Przybyła również delegacja bratniej Czechosłowacji (CSRS), której przewodniczył sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Komunistycznej Partii Czechosłowacji w Koszycach Alfons Kudelasek.

Po umurowaniu aktu erekcyjnego trzeciej z kolei szkoły Tysiąclecia, daru hutników i energetyków, goście udali się na stadion sportowy, na którym rozpocząć się miał uroczysty wiec.

Hymn narodowy. Powitanie.

Na estradę wdrapują się, a potem wchodzi coraz to więksi obywatele. Najmłodszy ma dopiero roczek i musi go prowadzić tatuś, najstarszy ma lat 25, a więc tyle, ile lat liczy Stalowa Wola. Jest ich razem 25 osób, chłopcy i dziewczynki, urodzeni w kolejnych latach 1938—1962. Wszyscy w rękach trzymają wianuszki kwiatów, którymi oddarowują przyzium wiecu.

Potem referat. Przemówienia i pozdrowienia. Pozdrowienia, kwiaty i przemówienia. Wszystkie bardzo serdeczne. Wszyscy gratulują hutnikom sukcesów — życzą dalszych.

Potem dekoracje zasłużonych hutników i metalowców. Order Sztandaru Pracy II klasy otrzymał mistrz stalowni Wiktor Pałka, 31 dalszych otrzymało kawalerskie i oficerskie krzyże Orderu Odrodzenia Polski oraz złote i srebrne krzyże zasługi.

Na podium wchodzi najstarsi pracownicy Huty. Na piersiach szarfy z napisami: 40 lat, 35 lat, 30 lat i 25 lat. Oczywiście lat pracy w Hucie. Jest ich razem 116. Wszyscy otrzymują kwiaty, dyplomy i nagrody pieniężne. I oklaski. Burza oklasków. Za trudną, uciążliwą pracę weteranów martenów, tych dzięki którym Ojczyzna nasza zwiększa swój potencjał gospodarczy, pomnaża bogactwa narodu.

Część artystyczna kończy tę piękną imprezę, w której mieszkańcy socjalistycznego miasta składali hołd socjalistycznej załodze.



Rozmowa w Stalowej Woli

ZDZISŁAW KOZIOŁ

UWAŻNIE słucham moich rozmówców; zastrzegają się, że oceny ich są subiektywne, często sprzeczne z oficjalnie głoszonymi. Mówią o społeczności, w której żyją, o swoim mieście, obchodzącym jubileusz 25-lecia istnienia. Nie jesteśmy socjologami, więc trudno nam będzie ująć w naukowe ramy dynamikę przemian społecznych w tym 25-tysięcznym mieście wyrosłym w Puszczy Sandomierskiej. Zrodziła je industrializacja kraju, ta anemiczna w latach trzydziestych, kiedy to w widłach Wisły i Sanu wznoszono obiekty Centralnego Okręgu Przemysłowego, miastem zaś, w pełni znaczenia tego słowa uczyniło uprzemysłowienie Polski Ludowej. Ludność miejska ukształtowała się w toku procesów migracyjnych. Budowniczość hal fabrycznych, pieców hutniczych, bloków mieszkalnych przyjeżdżali z różnych regionów kraju, robotnicy zaś niewykwalifikowani rekrutowali się głównie z okolicznych wiosek. Wielu z nich, po zdobyciu zawodu, zamieszkało tu na stałe. Wszyscy, a raczej zdecydowana większość, żyją z Huty Stalowa Wola. Huta żywi również część ludności wiejskiej w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

Nasze miasto miało kiedyś charakter „stacji przesiadkowej”; ludzie przyjeżdżali i z różnych przyczyn wyjeżdżali. Dzieciństwo i lata młodości miała więc Stalowa Wola burzliwe, ale uboczne skutki procesu urbanizacyjnego należą już raczej do przeszłości. Dawna, bezkształtna masa ludzka stała się ustabilizowaną społecznością miasta robotniczego. Chłopcy pasący kiedyś bydło na przybrzeżnych podmokłych łąkach zostali robotnikami. Wielu z nich awansowało. Każdy odznaczający się aktywnością zawodową i społeczną mógł stosunkowo szybko obejmować różnorodne stanowiska kierownicze. Granice między poszczególnymi grupami społeczno-zawodowymi były wówczas płynne. Wyraźniej zarysowały się one w okresie stabilizacji, kiedy o awansie zaczęły decydować kompetencje merytoryczne — kwalifikacje zawodowe.

Optymiści nazywają nasze miasto Nową Hutą Rzeszowszczyzny, pesymiści zaś — w dalszym ciągu „stacją przesiadkową”. Załoga, zasłana rokrocznie absolwentami szkół zawodowych oraz kursów kwalifikacyjnych, jest już w zasadzie ustabilizowana. Nie można tego powiedzieć o inteligencji. Przyjeżdżają do nas absolwenci wyższych uczelni, odbędą staż, nauczą się pracować w nowoczesnym zakładzie i wyjeżdżają. Jedni — na Śląsk i do Warszawy, innym nato-

miast władze powierzają stanowiska kierownicze w mniejszych przedsiębiorstwach. W Stalowej Woli można awansować do określonego szczebla. Młody inżynier — twierdzą sceptycy — wcześniej doczeka się siwizny i 50-lecia miasta, aniżeli stanowiska dyrektorskiego. A młodzi mają ambicje: „Nie będę zastępcą kierownika oddziału — mówi jeden z nich — gdyż moim szefem byłby technik”. Ten zaś oburzony odpowiada: „Jesteście zarozumiali, macie ukończone fakultety, ale my — doświadczenie życiowe oraz niemałe zasługi”. Konflikt między kadrami z awansu społecznego a absolwentami istnieje, ale łagodzony jest wieloma okolicznościami. M. in. ci pierwsi zrozumieli konieczność uczenia się; pokończyli szkoły mistrzów, technikum wieczorowe, niejedni — politechnikę.

Inteligencja techniczna opuszcza miasto w poszukiwaniu lepszych zarobków. „Dorobkiewiczostwo” — mówią złośliwi i zawistni. Zainteresowani uzasadniają swój wyjazd inaczej: „Stalowa Wola to prowincja, w większym ośrodku możemy skuteczniej doskonalić swój zawód, będziemy mogli korzystać z rozrywek kulturalnych itp. Każde środowisko inteligentnie stanowi u nas zamknięty światek ogrodzony szklanymi ścianami. Widać przez nie każdego i wszystko...” „Wychylać się” nie warto — tak wielu uzasadnia swoją bierność społeczną. Aktywni społecznie słyszą od swoich żon cierpkie wymówki: sąsiedni nie traci czasu na zebrania, więc ma lodówkę, pralkę, telewizor. Podejmuje zatem małżonek prace złeczne, szuka dodatkowego zarobku, byle tylko nie ustępować w standardzie życiowym pozostałym. Samokształcenie i studia też pochłaniają sporo czasu przeznaczanego kiedyś na działalność pro publico bono.

Życiu towarzyskiemu ton nadają kobiety: z doktorowych biorą przykład inżynierowe, z tych — technikowe i tak w dół. Kopiuje się stroje, urządzenie mieszkań, sposób spędzania czasu, a więc brydż, suto zakrapiane spotkania towarzyskie itp. Snobizm w naszym mieście zdążył zapuścić korzenie... Dotychczasowe próby mające na celu humanizację inteligencji technicznej nie przyniosły spodziewanych efektów. Było kiedyś Towarzystwo Lasowiackie... umarło jednak śmiercią naturalną. Organizowano dla inżynierów różnorodne odczyty, m. in. cykl wykładów o cybernetyce, studium wychowania estetycznego. Ci jednak nie przyszłi. Lekkie sztuki teatralne, zgaduj-zgadule cieszą się dużą frekwencją, natomiast na koncerty orkiestry symfonicznej przychodzi

w najlepszym wypadku 100 osób. W zespołach artystycznych naszego Domu Kultury — warto podkreślić, że jego działalność zyskała uznanie na wet poza granicami województwa — pracuje tylko dwóch inżynierów, pozostali to głównie technicy i robotnicy wykwalifikowani. Oni właśnie stanowią najbardziej wartościową grupę, decydującą o stabilności naszej społeczności.

Jednak mimo nie zawsze aktywnej postawy, są oznaki, że inteligencja interesuje się problemami społecznymi i politycznymi. Bardzo znamienita pod tym względem była dyskusja nad sztuką Jurandota — „Dziewiąty sprawiedliwy”, którą wystawił inspirowany przez „czynnik oficjalny”, zespół teatralny ZDK. Rozmowa o sztuce przekształciła się w namętą dyskusję o aktualnych problemach społeczno-politycznych. Wielu z nas uważa więc, że istnieje konieczność organizowania spotkań dyskusyjnych, zainteresuje to inteligencję problemami miasta, wpłynie na jej aktywność społeczną.

W Stalowej Woli interesujemy się również książką. Wskaźnik czytelnictwa jest u nas jeden z najwyższych w województwie. Biblioteki i księgarnie są zatłoczone. Biblioteka Miejska organizuje pomyslową propagandę książek. Ostatnio jej kierowniczkę martwi minimalny spadek ilości czytelników. Zastanawia się, czy jest to wpływ telewizorów, których coraz liczniejsze anteny ilustrują „utelewynienie” Stalowej Woli. Wśród wietlotysięcznej rzeszy czytelników jest... 4 lekarzy, oraz bardzo dużo dzieci i młodzieży. Pierwsi najczęściej czytają dla rozrywki „kryminały”, drudzy zaś — wszystko. Literaturę popularno-naukową też.

Z tej młodzieży chyba wyrosną inteligenci i wartościowi ludzie. Starsze pokolenie tradycyjnie zarzuca młodym brak ideałości, ale jak dotąd malkontenci nie wysunęli pozytywnego programu. Młodzieżą interesują się wszyscy; na plenum KM zabierają głos wielu dyskutantów, ale nauczyciele milczeli. Może dlatego, że ZMS-owcy sprawili im „łęgłe lanie” za... brak opieki nad swoimi uczniami poza szkołą. Postulowali oni wprowadzenie dyżurów nauczycielskich w miejscach publicznych i na ulicach celem poskramiania „chuliganów”. A przecież młodociani zakłócający porządek publiczny są to jednak tacy, którzy nie pracują i nie uczą się.

W naszym mieście panuje tłok nie tylko na stadionie czy w bibliotekach, ale i w knajpach. Pojawia się w nich

(Dokończenie na str. 10)

ZAMIĄST EPITAFIUM

KONRAD BIELSKI

BYŁO to dwadzieścia lat temu. U schyłku okupacji, w przededniu wyzwolenia. W okresie pełnym emocji i niebyle jakich wydarzeń. Wiadomości zewsząd nadchodziły nader pomyślnie. Front wschodni trzeszczał i, o radości, wciąż bardziej do nas się przybliżał. Coraz częstsze komunikaty Oberkomando, mimo misternej stylizacji, przynosiły nam nowe ładunki radości i nadziei.

Wiosna była piękna i wczesna. Wielkanoc natomiast przypadała późno: 25 kwietnia. Na świętego Marka. Podobno taki układ zdarza się bardzo rzadko. Oczywiście w związku z tym krążyć zaczęło wiele przepowiedni, łączących niezwykłą datę z niezwykłymi wydarzeniami. „Quando Marcus Pascham dabit, totus Mundus „vae” clamabit” itd., itd. i oczywiście w końcu „Polonia se liberabit”. Podczas okupacji ogromne powodzenie miały wszelkie wróżby i prorocтва. Tym bardziej, że wszystkie widziały przyszłość w czystych i jasnych barwach.

Tej wiosny i następnego lata przebywałem przeważnie w Kraśniku. Miałem tam bazę materialną w postaci domku i apteki mego stryja, powiązania rodzinne (mieszkała tam również moja matka i brat) oraz względnie bezpieczne środowisko. Gdy w Lublinie łapani i aresztowani przybierały na sile, a zdarzało się to coraz częściej, wyjeżdżałem do bliższego Kraśnika. Tam było inaczej.

Niemcy, którzy aż do śmiechności bali się chorób i epidemii, specjalnymi względami otaczali lekarzy i apteki. Toteż przy wszelkiego rodzaju szalejących represjach służba zdrowia traktowana była z pewną względnością.

Poza tym Kraśnik znajdował się w osobliwym położeniu. Cały powiat był terenem zacieklej walk partyzanckich i siedzibą potężnych ugrupowań

podziemnej armii. Rzeczyca, Trzydnik i okoliczne lasy — to najsilniejsze podówczas skupisko Armii Ludowej. Urzędów — to znowu stała domena AK. Były też silne Bataliony Chłopskie i sporo jeszcze innych oddziałów dżajkich, nikomu nie podporządkowanych. Wobec sytuacji jaka panowała na frontach, podziemne siły polskie coraz śmielej sobie poczyniły i coraz częściej słyszało się o zerwanych torach, zamachach na transporty i nawet o regularnych bitwach. Niemcy z kolei przystąpili do kontrofensywy, która przejawiała się w pacyfikacjach, paleniu wsi i mordowaniu ludzi. W akcjach tych brały udział nawet znaczne siły przy użyciu czołgów i samolotów.

Natomiast samo miasteczko było jak wyspa na wzburzonym morzu. Policji i żandarmerii na miejscu niewiele; wskutek tego słabego zaplecza władze miejscowe czuły się niepewnie i żyły pod ciągłym strachem. Wyjątkowo jakiś niedzarny gestapo, za dnia nie bardzo aktywne, nocą barykadowało się w swym pomieszczeniu i żadna siła nie mogła ich stamtąd wywabić. Powstał taki paradoks, że godzina policyjna obowiązywała ich, a nie nas. Celem przeprowadzenia poważniejszych akcji, zjeżdżało gestapo lubelskie, zdarzało się to jednak rzadko i można czasem było, dzięki pewnym kontaktom, wizytę tę przewidzieć i w czas się ulotnić.

Toteż na terenie Kraśnika snuły się różne tajemnicze postacie, lecz nikogo to nie dziwiło. Przywykliśmy już do wszystkiego. Iluż ludzi pracowało fikcyjnie w różnych przedsiębiorstwach. Iluż było niemeldowanych. Byli tacy, co tylko w nocy wychodzili ze swych kryjówek.

A jednak w owym czasie zwrócił naszą uwagę pewien mężczyzna, który pojawił się niespodzianie i objął jakąś nieokreśloną pracę w tartaku p. T. i jeszcze dodatkowo w pewnej firmie niemieckiej zatrudniającej Polaków. Legitymował się kartą rozpoznawczą, wystawioną na Jerzego Bilobrana, inżyniera-rolnika narodowości ukraińskiej. Nie trzeba było jednak zbyt wiele przenikliwości, aby domyślić się, że tym dowodem posługuje się człowiek inny, niż z nazwiskiem i zawodem nie mający wspólnego. Zresztą miejsce pracy i opieka p. T. mówiły same za siebie, a więc owego Bilobrana przyjęliśmy do naszego grona jako swego człowieka, z tym większą przyjemno-

STANISŁAW WEREMCZUK

K r a g

Spotkanie
niezawinione

Kiedy we mnie jest człowiek
którego dotykasz
i nie chcesz zagubić idąc
Kiedy wolisz mnie po imieniu --
jestem nazwany jako
przeciwnieństwo twoje
ale nie wierzysz bym istniał

Jako myśl trwająca doskonale
obca
bo nie jest tobą
I mam śmiałość być
treścią skończoną
niezrozumiałą
bo nie jest tobą

Dlatego boisz się

Nie wybrałem ciebie
dla pragnień
nie kupowałem wzruszeń

Przysiałaś pod drzewi
głodna i odarta
gałąź smukła

Pęczyłaś serec
jak ziarno

Patrzyłem na ból --
w ramionach i brwiach
kurczył się
czekał

Wtedy wiedziałem --
częstka najlepsza
toczyć się będzie
jak iza

Oczu
które nie płakały

ścią, że nasz nowy znajomy okazał się indywidualnością nieprzeciętną. Błyskotliwa inteligencja, rzadko spotykana erudycja i świetna pamięć — oto zalety tajemniczego gościa. Jeśli do tego jeszcze dodać olbrzymią skalę zainteresowań, trudno się dziwić, że coraz częściej zaczęliśmy szukać towarzysza „inżyniera” i ugadywać się z nim bez końca. Ja, mój brat Stanisław i on — staliśmy się z czasem prawie nierozłącznymi towarzyszami.

W tych okrutnych czasach jakąś rozkoszą było oderwać się od koszmarnych rzeczywistości i pograć w dyskusjach i biesiadach nie z tego świata. Spotykaliśmy się w różnych miejscach, przeważnie pod gołym niebem, jako że pogoda piękna trwała. A więc gdzieś pod topolami nad rzeczką, na cmentarzu, albo w pobliskich laskach. Gdy tylko, z obowiązku, pokrótce omówiliśmy bieżącą sytuację polityczną i militarną, natychmiast przechodziliśmy na nasze tematy. A różnorodność ich była niebyle jaka: o mało znanych poematach Majakowskiego i o prawie Merovingów, o administracji francuskiej i o sztuce dekoracyjnej Chin, o muzyce dodekafonistów itp.

Gdyśmy tak pewnego dnia rozprawiali właśnie o muzyce, Bilobran nam oznajmił, że z nim w Kraśniku chwilowo zamieszkała jego siostra, muzykolog, która właśnie kończy obszerną pracę o Karolu Szymanowskim i że dobrze by było spotkać się i specjalnie

posłuchać niektórych rozdziałów tej książki, które nam autorka chętnie odczyta. Ustaliliśmy więc dzień spotkania u niego w mieszkaniu.

Właśnie w tym czasie miejscowy rezydent, Bogiem-Ojcem zwany z powodu gęstej siwej brody, sięgającej po pas, znalazł się w trudnościach finansowych i zamierzał sprzedać część swojej słynnej, świetnie zaopatrzonej piwnicy. Zwrócił się w tym przedmiocie o pomoc do mojego brata. Oczywiście znaleźli się chętni i majątni nabywcy, transakcja się dokonała, a przy okazji w naszym posiadaniu znalazły się dwie butelki przedziwnej nalewki, którą wiek i jakoś predestynowały na stoły najwybredniejszych biesiadników.

A więc w dniu oznaczonym, zaopatrzeni w owe słynne butelki, udaliśmy się z bratem do mieszkania Bilobrana na zapowiadany wieczór autorski. Mieszkanie było trochę na uboczu w takim śmiesznym drewnianym domku, przyczepionym do dość stromej i wysokiej skarpy, jak gniazdo jaskółcze. Wnętrze przypominało celę klasztorną.

(Dokończenie na str. 10)

ZDZISŁAW POPOWSKI

List do matki (II)

Nie się nie zmienia. Muszla czasu tak samo szumem niepokoi. Dlatego właśnie, droga Matko, wciąż jestem w drodze, jak wędrowiec.

Może do Ciebie teraz wracam, wszystkie nadzieje niosąc w darze i serec w życie najbogatsze, i całą moją wyobraźnię.

Stojąc na wielkim korytarzu, co łączy epok dwa zlewiska, szukam uliczki snów i marzeń i wtedy list do Ciebie piszę,

że jestem. Inny być nie mogę, gdyż czekam jeszcze, a w czekaniu ukryłem czas mego trwogę i jakieś szczęście zapomniane.

Czasami ciężko. Moje zimy jak sanie suną snem śnieżycy, a wtedy — patrząc w okna mgliste — w każdym przechodniu Ciebie widzę.

Wołam. Nie słyszysz? To wołanie trzępocze się jak ptak bez skrzydeł. Lecz wiem, że choć Cię nie spotkałem, znów jutro na spotkanie wyjde.

Wyjaśnienie

Jestem nierównością ziemi — zgrzytem kół na miejskiej drodze. Tysiąc wieków leży we mnie, lecz wydobyć ich nie mogę.

Jestem Adam. Nie mam raju, zgrzeszył ten, kto raj odebrał... Jakis Noe mnie ocalił i to pewnie niepotrzebnie. Święci modły za mnie wznoszą, lecz do kogo — zapomniałem...

Choć się palą świece z wosku, lecz ja ich nie zapalałem...

Od poranku do wieczora prawdy łowię, światy zbawiam... Tylko czasem myśl przekorna bez nadziei pozostawia.

Mnie — nierówność zetrą młyny czasu. Zgrzyty kół uciechną. I wyjaśnią się przyczyny spraw, zagadek i powikłań.

Nasze babcie

Wszystkie babcie są takie same, mają własne przyzwyczajenia. W nocy czuwają, śpią nad ranem. Na serce biorą walerianę.

Zawsze szukają swej urody na bardzo starych fotografiach. I modlą się na zapas co dzień z książeczek oprawionych w safian.

Babcie mają kufry wytarte, na dnie kufrow — futra puszyste, srebrne monety, jeszcze z Marszałkiem, gors, strusie pióra i stare listy...

Wierzą tylko we własną pamięć do dat ślubu i dat urodzin... Zawsze będą nie przekonane, że się więcej należy młodym...

Babcie wiedzą także, co będzie, to z pasjansów, jasno wynika... I dlatego, właśnie codziennie tak się śpieszą. Dokąd? Donikąd...

Ech, te babcie! Żyją troskami, gdy ich nie ma — wynajdą pierwsze. Wszystkie babcie są takie same, także będą także jutrzejsze.

Świat w mydlanej bańce

JANUSZ WERONICZAK

KIEDY Katarzyna Weinert idzie ulicami miasta klip, klap, klip, klap stukają o chodnik jej koślawe chodaki. Dzieci biegają z nią, rzucają kamieniami, pokazują języki. „Baba Jaga, Baba Jaga”. Idzie od bramy do bramy, od drzwi do drzwi i każdemu kto otworzy mówi to samo: „Ja za praniem”. Czasem usłyszy, że nie trzeba, czasem, że kiedyś, kiedyś tam, a czasem zarzuca jej na plecy byrdę brudnej bielizny i prowadzi do pralni. Klip, klap, klip, klap „Baba Jaga, Baba Jaga”.

Katarzyna Weinert, Katarzyna Weinert to właściwie niemieckie nazwisko, ale Katarzyna jest Polką. Urodziła się w Dąbrówce Krajeńskiej, gdzie w Złotowszczyźnie w tych czasach, gdy za dzień dobry brało się w pysk od większych czy mniejszych Bismarcków. Zresztą o rodzinie Weinertów zawsze mówiło się z przymiotnikami „polnische” i „verfluchte”.

Stefan Weinert był wszystkim. Szewcem w Alt Krone, parobkiem w Waldforverck, murarzem w Bussingen, zamiataczem ulic w Landsbergu. Niczym długo. „Verfluchter” i koniec. Zginął w 1918 roku jako powstaniec wielkopolski.

Z tego małżeństwa zostało Katarzynie duże, sztywne ślubne zdjęcie i dwoje dzieci. Zdjęcie wisi do dziś nad łóżkiem, a dzieci? Syn wcielony do niemieckiej armii zginął za Führera i Vaterland gdzieś w rosyjskich bezdrożach, a córka wyjechała w świat.

W czterdziestym trzecim roku wysiedlono Katarzynę Weinert z Dąbrówki Krajeńskiej do Generalnej Guberni, do Lublina. I tu już została.

„Baba Jaga, Baba Jaga”, wykrzykują dzieci.

Pralnie położone są różnie, niektóre w piwnicy, niektóre na strychach. Katarzyna mieszka na Żelaznej w pokoiku nie większym od spiżarki. Łóżko, krzesło, wieszak i maleńki stolik z szufladą. Katarzyna ma osiemdziesiąt lat. Kiedyś jeszcze w czterdziestym ósmym roku przez Czerwony Krzyż dostała list. Chyba od córki. Ale nikt tego nie wie na pewno. Nikt nie wie też, co list zawiera, bo Katarzyna czytać nie umie, a prosić kogoś się wstydzi. List ten leży dotąd nie rozpieczętowany w jedynej szufladzie maleńkiego stolika. I tylko czasem Katarzyna wyciąga go i płacze.

Płacze też wtedy, kiedy nie może doprać jakiejś specjalnie brudnej sztuksi. Tylko, że wtedy leż nie widać, bo w pralni jest mglisto.

Klip, klap, klip, klap — ja za praniem. Nie trzeba. Mam pralkę. Klip, klap, — ja za praniem — może na drugi raz. „Baba Jaga, Baba Jaga” — ja za praniem. Siedzielibyście w domu, Katarzyno. Rentę powinniście dostać, a nie pranie. Rentę — nie, nie trzeba, jeszcze mogę sama robić, jeszcze mogę. To co tam będą państwu na karku siedziały i tak ono niebogate.

I w dusznej pralni, gdy na chwilę zamilknie tarka słychać cichy szelest — to w balii pękają duże, kolorowe bańki.

— Zboża w tym roku opóźnione. — Tak, to wszystko przez czerwcowe deszcze.

— Ale teraz pogoda już lepsza... W miarę zbliżania się do celu podróży następowała jednak u „Smiałego” wyraźna zmiana. Z coraz większym ożywieniem spoglądał przez okna samochodu, marszczył się, to znów uśmiechał się do swych myśli. Coraz wyraźniej ogarniała go wspomnienia. Wreszcie przy jakimś niepozornie wyglądającym mostku nie wytrzymał i sam zaczął rozmowę.

— Ten mostek rozwaliliśmy co kilka tygodni. Odcinaliśmy w ten sposób drogę do naszych lasów. To nie było zresztą trudne. Wystarczyło podpalić parę belek albo podłożyć dwa granaty i było po wszystkim. Teraz z betonem byłoby dużo gorzej. W ogóle to inne czasy...

Daleko, na widnokręgu ukazała się czarna linia lasów. Rosła z każdą chwilą i wkrótce mieliśmy przed sobą „partyzancką puszcę” w całej okazałości.

— Moje lasy — uśmiechnął się „Smiały” — wiecie, że do dzisiaj las daje mi nastrój spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Chyba właśnie dlatego zdecydowałem się na tę wyprawę, zamiast przyswoić odespać podróz.

— Widać natura ciągnie wilka do lasu...

— Ano, ciągnie... Jechaliśmy lasami jeszcze spory kawałek drogi. Wreszcie spoza ostatnich drzew ukazał się widok na spórą równinę, w pośrodku której szeroko rozłożyła się wieś. Górował nad nią stary wiejski kościółek i nowa, jasno tynkowana szkoła. To było Zatoczno.

„Smiały” wyraźnie ożywił się i odmłodził. Teraz nie trzeba było od niego wyciągać słów. Mówił sam, z młodzieńczym wprost przejęciem i zapałem.

— Jest tu paru moich partyzantów: Warchoń, Stręciwilk i Kiszka... Wdowa Czesiakowa, no i cała rodzina mojego zastępcy i najlepszego przyjaciela — Stefana Kluka. Odwiedzimy ich wszystkich po kolei. Albo jeszcze lepiej zbierzemy się jak kiedyś u starej Czesiakowej. To będzie piękny wieczór wspomnień.

Przystaliśmy przed starym, ale obszernym domem. „Smiały” pierwszy wyskoczył z samochodu.

— Idziemy do „Partyzanckiej Mamy”. Zawsze zatrzymywałem się u niej. Była bardzo gościnna i serdeczna choć sama straciła w partyzance syna.

Zastukaliśmy do drzwi. Były otwarte, więc „Smiały” bez wahania wkradł się do środka. W kuchni nie było nikogo. Tylko dwie kury najspokojniej grzebały w popielniku. Zastukał więc w drugie drzwi. Ukazała się w nich młoda kobieta z małym dzieckiem na ręku.

— My do wdowy Czesiakowej... Kobieta otworzyła szeroko oczy. — Ależ panowie, stara Czesiakowa nie żyje. Już będzie osiem lat jak my ją pochowaliśmy.

— Umarła? No tak, minęło już przecież osiemnaście lat. Należało o tym pomyśleć, przecież wtedy była stara i schorowana...

— Co panowie chcieli? — Nic. Ot myślałem ją odwiedzić. W czasie wojny, gdy byłem w partyzance, opiekowała się mną, wyświadczyła mi wiele dobrego.

— Ja nie wiem. Jestem jej kuzynką. Jak umarła, została dla nas chałupa i przyjechałam tu z moim mieszkać.

Wyszliśmy znów na drogę szukając domu rodziny Kluków. Kiedyś łączyły „Smiałego” z całą rodziną mocne więzy przyjaźni.

— Stefan, to był partyzant całąębą. Dowodził plutonem zwiadowców, a potem gdy przeszliśmy już pod AL, został zastępcą dowódcy kompanii. Miał tu, w Zatocznie siostrę i narzeczoną. Na jesieni w czterdziestym trzecim urządziliśmy mu partyzanckie wesele. Rozstawiliśmy erkaemy i strażę na skraju wsi, a cały oddział był honorową asystą ślubną. A potem bała się cała wieś.

— A co ze Stefanem? — Zginął w czterdziestym czwartym. Wtedy odbywał się pod Zatoczniem zgrupowanie oddziałów AL. Niemcy chęć mieć spokój na tyłach wysłali przeciw partyzantom prawie całą dywizję SS. Otoczyli całe zgrupowanie... My, razem z jednym oddziałem radzieckim, byliśmy poza niemieckim kotłem, ale postanowiliśmy ruszyć na pomoc. Stefan z grupą zwiadowców i erkaemem poszedł pierwszy. Wyszedł na prawie skrzydło niemieckiej tyra-

liery, przedostał się na wzgórze, skąd mógł ostrzeliwać całe przedpole wsi. Przez dwie godziny paraliżował wszystkich. Niemcy dopiero moździerzami rozbili jego erkaem. A my przez ten czas mogliśmy uderzyć z drugiej strony i wyprowadzić w las wszystkie oddziały.

A Stefan... dlatego tak parł do Zatoczna, bo przed tygodniem doniesiono mu, że został ojcem. Chciał jak najszybciej zobaczyć swego syna...

U Kluków otworzyła nam niemłoda, ciemno ubrana kobieta. Dopiero po chwili „Smiały” rozpoznał w niej siostrę Stefana. Po osiemnastu latach mało przypominała rozbawioną druhnę z partyzanckiego wesela.

— Zostaliśmy sami. Marycha, znaczy się żona Stefana, umarła w rok po wojnie na zawałenie płuc. Wychowałam Franka sama. Ale jest mi coraz trudniej. Chłopak ma już 19 lat. Niczego ani nikogo nie chce słuchać. Uparty taki i zacięty...

POWRÓT BOHATERA

„Smiały” chciał koniecznie zobaczyć chłopaka. Ciotka pobiegła więc do kuchni, aby go sprowadzić do domu.

Wkrótce stanął przed nami wysoki, czarny chłopak w zasmolonym kowalskim fartuchu. Patrzył na nas ponuro i z nieufnością.

— To ty jesteś Franek... Poznałbym cię wśród stu innych. Wykapany ojciec. Nos, oczy — zupełnie jak bym widział Stefana. Tylko urosłeś jeszcze większy.

Chłopak nadal patrzył chmurno. — Nie pamiętam ojca. Jeszcze w wojnę zabił go Niemcy.

— Tak, miałeś wtedy parę miesięcy. Ale nie mów, że ojca Niemcy zabił. On zginął w walce. Jak bohater. Urautował setki ludzi. Naprawdę nie o tym nie wiesz?

— Coś tam, kiedyś mówił. Ale to dawno, niewiele pamiętam.

— Twój ojciec był partyzantem w moim oddziale. Dobrym partyzantem.

— W pana oddziale? — w głosie chłopca wyraźnie brzmiało powątpiewanie. Spoglądał na „Smiałego” z góry. Był od niego wyższy prawie o dwie głowy.

— Tak. Powinieneś wiedzieć o nim wszystko. Zasłużył sobie na twoją pamięć!

Chłopiec wciąż milczał. Opuścił tylko głowę.

— Podobno jesteś uparty — w głosie „Smiałego” zabrzmiał jakiś ciepły ton, ojciec twój też był uparty. Zupełnie jako koziół. Ale gdy ktoś go ujął, trafił mu do serca, okazywało się, że to złoto, nie człowiek. Ty pewnie też będziesz taki.

— Ja — zaczął niepewnie chłopak. Muszę iść do kuchni... majster pozwolił tylko na chwilę.

— Idź chłopcze, ale potem, wieczorem lub jutro musimy jeszcze pogadać. Mam ci wiele do powiedzenia.

I znów wyszliśmy na drogę szukając ludzi i minionych spraw.

— Warchoń? Nie, już tu nie mieszka. Przeniósł się do Warszawy. Tu została tylko córka...

— Stręciwilk? Nie ma go. Jest stróżem w GS Kodecznica. Tam stale nocuje. Tutaj bywa raz na tydzień. Chyba żeby przyjechał na święto, co jutro w szkole szykują...

Szliśmy dalej przez wieś. Obcy, nieznanymi ludźmi. Dokąd więc teraz porucznik „Smiały”?

Wódka była dość podejrzanego pochodzenia. Gorzka i cuchnąca, w grubych, ordynarnych szklankach po musztardzie miała smak wprost odrażający. Ale właśnie tak chcieli. Pragnęli chyba właśnie poprzez te szczególne smaki tamtych — minionych czasów. Spotkali się wreszcie, prawie w ostatniej chwili, gdy wyda-

wało się, że „Smiały” porzucił wszystko rezygnując zupełnie z udziału w uroczystościach.

Znalazł się, mieszkający teraz w zięcia na drugim końcu wsi Kiszka. Ściągnął ze swej stróżowskiej posady Stręciwilka. Przylecieli witać swego dowódcę i przyjaciela.

I oto rozpoczęliśmy „wieczór wspomnień”. Porucznik „Smiały”, dwaj byli jego partyzanci oraz wplątany przypadkowo w sprawę reporter.

— Za naszego dowódcę — porucznika „Smiałego”!

— Za dawne czasy!

— Za partyzancką dolę!

Krzyżowały się toasty i okrzyki, pytania i wspomnienia. Próbowali śpiewać. Ale głosy zawodziły.

„Smiały” pił dużo. W miarę pochłanianego alkoholu nabrzmiewały mu żyły na szyi i ciemniały oczy. Kompani nie zwracali na to uwagi. Na równi z wódką odurzała ich obecność „Smiałego”.

— Partyzancki bimber. To było pić. Wszystkie szampany i koniaki świata to przy nich pomyje!

— „Smiały”, pamiętasz akcje przy leśniczówce? Powiedziałeś wtedy...

— Słuchaj „Smiały”. My tu prości ludzie. Nie od polityki. Będzie wojna?...

— Wojna? — „Smiały” podniósł głowę i zatrzymał na mnie ciężkie, mętne od wódki spojrzenie — spytał jego. Mądry, wygadany redaktor. Tacy teraz robią politykę. My zrobiliśmy już swoje w lesie. Z automatem...

Cóż mogłem odpowiedzieć... Jak wytłumaczyć tym ludziom okrucieństwo biegnącego czasu.

— Nie już nie zostało z tamtych czasów — mówił już bardziej do sie-

bie niż do nas. — Tylko kilku starych dziadków usiłuje coś przywrócić. Ale ludzie nie chcą nas słuchać, nie chcą o tym wiedzieć. Mają swoje kłopoty i sprawy.

— Nieprawda, poruczniku — usiłowałem się wtrącać. — Spoczętostwa w tych sprawach nie zapomina. Przecież nawet jutrzejsze uroczystości...

To był błąd. „Smiały” zerwał się z miejsca. Spadła potrącona butelka. Wylana wódka ciurkiem poleciała na podłogę.

— Do diabła z uroczystościami! Właśnie to jest najgorsze. Wasze napiszone artykuły i przemówienia. Uroczystości i sesje. Zagadaliście prawdę na śmierć. Zrobiliście z niej transparent polityczny. A gdzie do cholery, prawdziwi ludzie? Co z nimi robicie. Był kiedyś u mnie jakiś cymbał. Pytał o partyzanckie historie. A potem napisał. Nazwał to „Partyzancka epopeja”. Było tam wszystko — bitwy i wysadzanie pociągów. Romantyczne pieśni przy leśnym ognisku. Siedział. Nie chciało się tym nawet tyłka podtrześć!

Czy widziałeś, smarkaczu, jak zdycha człowiek, któremu nie można pomóc, bo brak lekarza, lekarstw i w ogóle wszystkiego? Czy czuleś, jak żrą człowieka wszy?... Albo co to znaczy całymi miesiącami tęsknić za ciepłem kobiety i widokiem własnego, dopiero urodzonego dziecka? Ale to nie nadaje się do polityki! Kompilkuje historię. A więc do diabła z tym! Do diabła z starymi, romantycznymi dziadami! Do diabła!

Ktoś otworzył drzwi. Na progu stał Franek. Był odświętnie ubrany. W ręku nieśmiało miał kapelusze.

— To ja. Kazał mi pan przyjść. Teraz już wiem, że pan jest „Smiały”, że uratował pan ze swymi żołnierzami naszą wieś i wszystkich partyzantów. Już wiedzą o tym wszyscy. Ciotka opowiadała.

W jednej chwili zgasił gniew „Smiałego”. Skoczył do chłopca i zaczął go mocno ścisnąć. Po chwili Franek siedział z nami przy stole.

Za dużo było tej wódki... Szumiała w skroniach, mąciła ostrość widzenia. A trzeba było bardzo, bardzo uważać. Bo oto coraz częściej skrzypiały otwierane drzwi, przychodzili coraz to nowi ludzie i serdecznie ścisnęli ręce „Smiałego”. A on, widać zmęczony, czy zawstydzony niedawnym wybuchem uśmiechał się tylko i ze zdwojoną serdecznością ujmował wyciągnięte dłonie.

Uroczystości związane z rocznicą bitwy pod Zatoczniem były bardzo udane. Wielki wiec zgrupował wiele tysięcy ludzi. „Smiały” był obiegany na każdym kroku. Potem wracaliśmy innymi samochodami, każdy miał inne sprawy i nie zdążyliśmy porozmawiać. Jedyne do reporterskiej kolekcji przybyło mi jeszcze jedno zdjęcie porucznika „Smiałego”. Uśmiechnięty i dumny otwiera na nim nową, piękną szkołę w Zatocznie. Szkołę im. „Partyzantów AL”.

Lesław Gnot

Z przygotowanego do druku w Wydawnictwie Lubelskim zbioru reportaży „Bochenne drogi”.

Gdy Lyck stał się Elkiem

(Dokończenie ze str. 2)

metrami, odkryty został — rzecz duża — dopiero za czasów Polski Ludowej. Rozkwita turystyka wodna, motorowa i piesza. Piękno Mazur propagują TRZZ i PTTK. Doroczny, tradycyjny już rajd kolarski „Szlakiem Michała Kajki”, odbywający się we wrześniu, miesiącu urodzin i śmierci ludowego wieszca, staje się centralną imprezą sportową roku. Droga z Elku do Ogródka, wsi rodzinnej Kajki, uczęszczana jest w każde wakacje przez tysiące turystów.

Lipiec roku 1960 zabarwił miasto opalonymi torsami, różesnianymi twarzami, kolorowymi szmatkami; rozspiewały się ulice, zaroili gośćmi. Pierwszy „Złaz” lubelskich studentów z metą w Elku dał nowy zastrzyk w życie turystyczne powiatu. „Złazy”, powtarzane odtak co roku, zaraziły swą beztroską wesołością i rozmachem miejscową młodzież. Węzły przyjaźni nawiązane pomiędzy Elkiem a Lublinem przyniosły chyba obopólną korzyść.

Pomysł zorganizowania Tygodnia Ziemi Mazurskiej wylanił się stopniowo. Rok Ziemi Białostockiej dał asumpt do zrealizowania tego przedsięwzięcia. Tydzień Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich i Północnych, przypadający na początek maja, zbiega się z uroczystościami elckimi nie przypadkowo. Cele Towarzystwa polegają w znacznym stopniu na pokazaniu wszystkiego, co Polska Ludowa zdołała dokonać na ziemiach odzyskanych. Zaś polskie miasto Elk dojrzało już do tego, by pochwalić się swymi zdobyczami, swą gospodarką, swym zmartwychwstaniem z wojennych gruzów, swym rozkwitem i planami na przyszłość. Dlatego w dniach od 5 do 12 maja obchodzony jest Tydzień Ziemi Mazurskiej, na który gospodarze miasta i jego społeczeństwo serdecznie zapraszają jak najliczniejszą rzeszę gości.

Co mówią o „Tygodniu Ziemi Mazurskiej” jej obywatele, czego się po nim spodziewają, co uważają za najważniejsze? Wiceprzewodniczący Prezydium PRN w Elku, tow. Zenon Switaj, akcentuje moment czynów społecznych. Wywołanie entuzjazmu twórczego przez własnoręczny udział w pracach porządkowych w mieście tworzy specjalny klimat patriotyzmu lokalnego w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Liczne napływające zobowiązania ku czci Tygodnia spłatały się z zobowiązaniami pierwszomajowymi. Obejmują one porządkowanie własnego zakła-

du i roboty społeczno - użyteczne na terenie miasta. Na pierwszy plan wysuwa się projektowana od dawna jako zamówienie społeczne budowa nowego stadionu. Propozycja Powiatowego Komitetu FJN sugerująca dobrowolne opodatkowanie się załóg elckich zakładów pracy na przeciąg 3 lat osiągnęła zamierzony cel: zasoby pieniężne na tę inwestycję napływają i rosną z każdym dniem. Na wsi czyni społeczne kierują się na budowę remiz strażackich, naprawę plotów, oczyszczanie obejść, zadrzewianie dróg.

W dziesiątki i setki tysięcy złotych rośnie wartość zgłoszonych i już rozpoczętych prac. Ale czyż suche cyfry zdolają ująć bezcenny kapitał dobrej woli i gospodarskiej troskliwości o swe miasto, jaka kryje się w inicjatywie elckiego społeczeństwa?

„Ustanowiono Dni Ziemi Mazurskiej” święcić uroczystości. Dnia dzisiejszego, co pierwszym dniem święta Ziemi Mazurskiej zwać będziemy, rajcownicy wita ją zgromadzony naród, pokłon mu oddając i ogłaszając co następuje... Dni one, co się Dniami Ziemi Mazurskiej zwią, za ustanowieniem Komitetu Uroczystości po wsze czasy każdego roku obchodzone będą w Tygodniu Ziemi Zachodnich i Północnych... Działo się dnia 4 maja 1963 roku w obchodzonych uroczystościach 1000-lecia Państwa Polskiego i w Roku Ziemi Białostockiej”.

Zofia Bolesławska

Anonim: „Bobby”?
Bechczyc-Rudnicka: Tak, pleno tytuł „Wielki Bobby”.
 — A więc zaraz zaczniemy się kłócić. Mnie się „Wielki Bobby” podoba mniej niż „Klucz od przepaści”.
 — To co? Mnie też.
 — Tam Gruszczyński ujął głęboko problem moralny. Poprzez psychikę jednostki. Lotnik zrzucił bombę atomową na Hiroszimę, na ludzi. Okazuje się, że fakt rozkazu nie jest antidotum na zatrucie sumienia. Enrique zamyka się w klasztorze...

— Nawiasem mówiąc, pan oczywiście wie, że oficer amerykański, który wykonał zleconą mu zbrodnię, nie popasał długo w zaciszu klasztornym, wrócił do lotnictwa.
 — Wiem. Ale to się działo w życiu, a nie w obrębie sztuki. Mniejsza o klasztor. W sztuce postawa Enrique jest ludzka. Jak będzie z tym żył? Widza obchodzi jego los, widz szuka odpowiedzi, głowi się nad pytaniem, w jaki sposób można przeciwstawiać się takim rozkazom... Od Josu jednostkowego wiedzie droga do wielkich problemów społeczno-państwowych.

— Ależ zgoda w całej rozciągłości. Mnie się zdaje, że „Wielki Bobby” właśnie dlatego „bierze” mniej, że bierze od razu na uogólnieniach.

— Rys nowoczesnej dramaturgii, której twórcy zapatrzyli się w średnio-wieczne moralitety.

— Mamy tedy syntetycznego Prezydenta, syntetycznych ministrów, syntetycznego oficera dyżurnego. Ostatecznie sam Bobby, pijany sierżant, który dostał się przypadkowo do „serca” arsenału atomowego, też jest syntetyczny. Taki standardowy produkt *made in USA*.

— A ta jego standardowość powinna utwierdzić widza w przekonaniu, że nie potrzeba nawet wariata, że pierwszy lepszy facet może dofilozofować się do naciśnięcia wiadomego guzika i nieszczęście gotowe.

— Nie inaczej. To jest zawartość wierzchniej warstwy sztuki. „Wielki Bobby”, proszę pana, jak się oboje orientujemy, ma dwie warstwy. Na wierzchu leży sprawa atomowa. Problem w roku 1963 n.e. już całkowicie u nas upowszechniony.

— Wynikałoby z tego, że „Bobby” wyważa otwarte drzwi, a więc jest nieaktualny?

— Chyba tak. W zakresie atomowego niebezpieczeństwa. Przecie sztuki są aktualne dopóty, dopóki uświadamiają w czymś nieświadomym. A jakież normalny Polak, zapytany o sprawy atomowe, nie powiedziałby bez sekundy wahania: „Nie chcę broni nuklearnej! Nie chcę wyrzucić rakietowych na mojej ziemi! Oby jak najprędzej doszło do zniszczenia tej przeklętej broni!”

— Niewątpliwie postawa nasza w stosunku do tego problemu jest jak najbardziej solidarna. Może by ta wierzchnia, atomowa warstwa „Bobbyego” była bardziej przydatna na Zachodzie. Tylko, widzi pani, komediowe potraktowanie problemu jakiejś raczej rozbraja widza w stosunku do atomu. Marionetki, ekranik, bar podręczny, klawiaturka na niby... Widzi i tak wie, że spożyje w domu spokojnie kolację.

— I oto impas fakturalny. Nie ma sensu straszyć widza Grand Guignolem, skoro wie z góry, że Bobby nie naciśnie fatalnego guzika, a skądinąd sam „syntetyczny” Bobby, osadzony w komedii, nie a nie widza nie obchodzi. Gruszczyński zdecydował się na coś pośredniego między komedią a dramatem. Pisać komediowo o rakietach nuklearnych to niemalże ryzyko, gdy się jest pisarzem innego pokroju niż taki francuski Verneuil czy Hennequin. Francuz zabrałby się do atomu od strony mody. Gruszczyński wprowadzić też ma sceny komediowe *prima sorta*...

— Cały dialog Bobbyego z Flynnem, który namawiając delikwenta do wyjścia z arsenału roztacza przed nim perspektywę oczekujących go na zewnątrz kar.

— A rozmowa ministrów z żoną Bobbyego? To zróżnicowanie reakcji poalkoholowych!

— Albo rozmowa z Matką o usposobieniu dzieciątka Bobby. Takich scen nie powstydziłby się Moller. I trzeba przyznać, że zarówno pani Węclaw, jak pani Kolaszyńska były na wysokości zadania.

— O interpretacji — tradycyjnie na końcu. Niech pan nie używa podstępów, by zmusić wykonawców do lektury całego naszego omówienia. Wracajmy do tekstu.

— Rozkaz. A więc istotnie Francuz zostawiłby samą pyszną zabawę. Zadanych kolektywnych modłów, somnambulicznych tańców na wzór dramaturgii początku stulecia. Rzecz jednak

Igraszki z atomem

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

w tym, że pisarstwo Gruszczyńskiego nigdy nie prześlizgiwało się po powierzchni tematów. Jeżeli Gruszczyński nie miał nic nowego do powiedzenia w górnej warstwie sztuki, to na pewno coś niedopowiedzianego mieści się na drugim dnie, coś, o czym nigdy nie dość powtarzać.
 — Aha. Dochodzimy do sedna rzeczy. Zgodzi się pan, że sprawa atomowa jest w „Bobby” metaforą? Jego elementarna fabuła jest katalizatorem wywołującym reakcję pokazanego tnu.

— Nie wątpię. I tu mam z „Bobby” największy kłopot. Na tej głębokości następuje dewiacja. Pani mówi metafora Siusznie. Otóż atomowa metafora Gruszczyńskiego byłaby frapująca, gdyby w jej wewnętrznej zawartości nie tkwiła zasadnicza skaza. Gruszczyński atakuje naraz dwie strony. Pokazał w dosadnym skrócie proces powstawania tyranii, przypuścił atak na bezmyślnych oligarchów,

Ukamenował go!.. Ciernie na głowę! „Na krzyż!”...itd.

— Bardzo słusznie postąpił reżyser zastępując tę pointę ewangelicznej analogii apostoła do widowni wziętą z końca aktu pierwszego: „A wy jesteście widzami. Do czasu!” Inaczej, finalnym akcentem spektaklu byłoby pesymistyczne uogólnienie odautorackie, że ludzkość nagminnie kamieniuje reformatorów i wodzów, gdy tylko się wychyli z arsenału.

— Rzeczywiście stwierdzenie niezbyt budujące! Zresztą skąd Bobbyemu do reformatora? Ktoś napisał, że niby to „Bobby” dojrzał w owym bunkrze, że wyrósł duchowo na myślącego człowieka. Nonsens. W takich arsenałach — centrach dyspozycyjnych „wyrasta się” tylko na despotę. A w ogóle w sztukach tego rodzaju nikt nie „rośnie”, bo to nie są sztuki psychologiczne. To jest tak zwany pamflet.



PAŃSTWOWY TEATR IM. J. OSTERWY W LUBLINIE
 KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI — „WIELKI BOBBY”
 Na zdjęciu: Jan Machulski (Bobby) i Marian Buczek (Flynn)

stwarzających koniunkturę, w jakiej przygodne indywiduum, dostawszy się do „arsenału”, do centrum dyspozycyjnego władzy, może terrorizować rzesze ludzkie. Pięknie, to byłoby w sztuce funkcjonalne. Ale niestety to nie wystarczy autorowi. On jednocześnie dyskredytuje poddane terrorowi masy. Co mam z tym począć? Wziąć za dobrą monetę lokalizację anegdoty i powiedzieć sobie: „W porządku. Tak wygląda zgnile społeczeństwo burżuazyjne”. Wtedy pograżam Gruszczyńskiego w niesławnej pamięci schematyzmie. Albo też muszę założyć, że Gruszczyński poszedł w ślady Dürrenmatta rzucając oskarżenie całej ludzkości.

— Ta ostatnia supozycja wygląda na bardziej trafną, bo przypadała się jeszcze w sztuce analogia z tragedią ewangeliczną, która czyni casus Bobbyego diabło poważnym.

— No tak, te postacie „rybaków”: jowialny Giovanni — niby Jan Ewangelista, sceptyczny Tom — Tomasz niewierny, chwójny Peter. I „przyjaciółki”: Miriam, Marylio Magdalena.
 — A przede wszystkim zakończenie sztuki. Pamięta pan drukowany w „Dialogu” tekst? „Królu żydowski!..

świadomość przetwarzała treść utworu w banal — o tyle chyba nie ma większego powodu do zmartwień, gdy nieświadomości widz nie sięgnie do drugiego dna „Bobbyego”.

— A co pan powie o reżyserii Jana Machulskiego?

— Jeden plus już wspólnie odnotowaliśmy: zniwelowanie analogii ewangelicznych. Poza tym pan Machulski w pełni uszanował wolę autora, który nazwał swój utwór komedią.

— Gruszczyński nazwał, a „Dialog” skomentował drukowany tekst myślnie nieuczestną Leca: „Tragizm epoki oddaje jej śmiech”.

— Ten aforyzm naszego Chamforta nie bardzo mi trafia do przekonania. Ale tak czy inaczej wasz teatr gra „Bobbyego” konsekwentnie komediowo.

— Ba, przecie na kaliskim festiwalu teatralnym teatr nasz otrzymał nagrodę właśnie za „konsekwencję artystyczną”, w „Wygnańcach” i „Wielkim Bobbym”. Obraz.

— Otrzymali obraz? Jeden? To przydałby się sąd salomonowy... Ale wyznam pani, że osobiście wolałbym może trochę mniej konsekwencji, jeśli przez „konsekwencję artystyczną” mamy tu rozumieć ułożenie spektaklu w jednym planie — komediowym. Bo zakończenie drugiego aktu z tłumem tańczącym na rozkaz, a potem w akcie trzecim modlitwa tłumem do „wielkiego” Bobbyego — to są momenty o potężnym ładunku zgrozy. Niestety przejmujący nastrój modłów za prędko pierzchnął. Rozładował go w mgieniu oka komizm gazetowych kolpaków na głowach ministrów, zresztą dowcipna aluzyjka.

— Lekkie przedobrzenie tempa, tu po prostu zabrakło luftpaazy. Na ogół jednak wydaje mi się, że to, cośmy powiedzieli analizując tekst „Bobbyego”, przemawia na korzyść reżysera. Słowem — „wybaczcie błędy autorowi!”

— A co do aktorów...

— Już ustaliliśmy, na przykład, że podoba się nam Daniela Kolaszyńska jako Matka i Wanda Węclaw jako Zona. Wykazały się poczuciem humoru.

— Ministrowie mniej.

— Niechby kto spróbował czymś się wykazać grając nie ludzi, tylko satyryczne koncepcje stanowisk. Zarówno Marek Idziński — Prezydent, jak Witold Lisowski — Minister Apropozycji, otrzymali materiał nadający się do groteski, a mieli grać komedię. Minister Obrony został zdecydowanie ustawiony jako postać groteskowa i to właśnie Wilkiemu wyszło.

— Zdaje się podważymy trochę w tym miejscu ową „konsekwencję artystyczną”. Bo znowu rolę Bobbyego grał Machulski z całkiem naturalistycznym wdziękiem. Gołdy nie widziałem. Mówiono, że dublował poprawnie, odrobinię zbyt zapatrzony w reżysera... Podobali mi się „apostołowie”.

— Czeski, Drozdowski, Wiszniewski. Sylwetki wyraźnie nakreślone. Natomiast „przyjaciółki” nieco przerysowane przez pani Suchecką, Mikołajczuk, Kaczkowską — zwłaszcza Miriam.

— Ale Sex-Bombie nic pan nie ma do zarzucenia?

— Absolutnie nic. Pani Zofia Stefańska fascynowała urodą i stylizacją epizodu.

— Powiedziałabym też, że Daniela Zborowska i Paczyński stworzyli parę zakochanych.

— Na pewno. Choć nie ręczyłbym, że autor nie potępił tych młodych za to, że świat ich nie obchodzi.

— Fe, co za „schematyczne” przypuszczenie! Przeczy mu poezja cytatu z Szekspira.

— Zgoda. Nie bądźmy pedantyczni. Pragnę właśnie powiedzieć miłe słówko pod adresem Stefana Buczka: grał sierżanta Flynna po ludzku komediowo. Wreszcie Kolaszyński, Arcybiskup, jak zawsze godnie prezentował duchowną osobę.

— A co o Taylorze?

— Pan Zarychta uszytył się zgodnie z założeniem autora i reżysera. Autor dał mi tylko jedną kwestię pod „szmerek i brawko”: „Jestem d...”

— No i ostatnią wypowiedź, wedle zwyczajów, o scenografii.

— Trochę przyklasne mi się wydają owo pomieszczenie dla ministrów. Może lepszy efekt uzyskaloby się wydobyciem postaci reflektorami z jakiejś nieograniczonej wizualnie, pograżonej w mroku przestrzeni. Ale pan Toronczyk wolał bardziej konkretne rozwiązanie. Jest doświadczonym scenografem, widocznie jego koncepcja miała zaakcentować komediowe ujęcie sztuki... A więc, proszę pani, ostatnie słowo przebrzmiało, pozostaje mi życzyć waszym igraszkom z atomem sukcesu u publiczności.

— Już go miały w Kaliszu i Lublinie. Dziękuję.

ZALOGA PGR. Skupisko ludzi zorganizowanych na wzór fabryczny. Unormowany czas, jednolitość zajęć, często dodatkowa integrująca okoliczność — wspólne miejsce zamieszkania. Zdawałoby się, że pod względem podatkowym na oświatę i społeczną inicjatywę PGR powinien dorównać fabryce maszyn, a zdecydowanie dystansować sąsiednią wieś. Niestety. Średni „nie najgorszy” PGR zostaje w tyle nawet za wsią, której świetlica dopiero co zdobyła się na telewizor.

Przyczyna? Pierwsza. W PGR zwracano uwagę przede wszystkim na produkcję chcąc pozbyć się ciągnącego się po wszystkich referatach i konferencjach swądu nierentowności. Druga. Płynność i niski stopień wykształcenia kadr, które w pewnych gospodarstwach zaledwie w 20 proc. mogą wykazać się pełnym wykształceniem podstawowym. Trzecia. Niewystarczający stan urządzeń powodujący izolację PGR od systemu krążenia dóbr kultury i skazujący te placówki na nie dorównującą zadaniom samowystarczalność. W tych warunkach również ze strony załóg nie dała się zauważyć tendencja chętnego przyjmowania inicjatyw, jeśli takie gdziekolwiek się pojawiały. Świetlicowym w PGR z reguły bywał „Antek”, czyli pracownik zabiegający o ulgową taryfę w pracy zawodowej, albo odsunięty na to stanowisko z racji niepełnowartościwej przydatności w polu. Czynność świetlicową niejednokrotnie ograniczała się do pozamiatania świetlicy i rozłożenia w niej czasopism.

Zresztą i świetlice nie jest za wiele. W województwie lubelskim na 200 państwowych gospodarstw (oprócz rolnych mowa tu o rybnych, nasiennych, doświadczalnych itp.) jest 55 świetlic (w nich tylko 3 świetlicowe) ma wykształcenie na poziomie niepełnego średniego), 25 bibliotek, 64 uniwersytety powszechne, 25 kin związkowych i 8 kin WZK. Jeśli chodzi o biblioteki, które są najwiodniejszym narzędziem upowszechniania kultury, to dodać wypada, że za bibliotekę w PGR uchodzi już zbiór liczący... 20 książek, podczas gdy normalny punkt biblioteczny zaczyna się od 1000 tomów.

Poza tym pegeerowskie księgozbiory nie są uzupełniane nowościami i na dobrą sprawę nikt nie wie, w jakim stopniu odpowiadają zainteresowaniom załóg.

Nie unormowana jest sprawa wynagradzania świetlicowych. Część z nich (35 proc.) otrzymuje wynagrodzenie zróżnicowane w wysokości 300 zł miesięcznie (suma ta ma być podniesiona do 500 zł), część zaś pracuje społecznie. W dodatku kierownictwa gospodarstw, które ze swego budżetu wydzieliły ryczałt dla świetlicowego, uznają ten fakt za całkowicie wyczerpujący zakres możliwego zainteresowania pracą kulturalno-oświatową. Oczywiście nie wszystkie. Można i tu wymienić dodatnie wyjątki, jak np. Państwowy Ośrodek Hodowli Zarodowej w Białce, PGR Cieleńnica, PGR Koroszczyn, czy POM Skierbieszów, ale w ogólnym przekroju województwa sprawa się tak przedstawia. Nie może książka, instrument, teatralny kostium znaleźć sobie miejsca w sąsiedztwie maszyny rolniczej, ziarna siewnego, naprawczego warsztatu. Dzieje się to ze szkoda samych pracowników, z których wielu organizuje sobie rozrywkę w małych kręgach towarzyskich, oczekując z niecierpliwością odwiedzin artystycznych zespołów zawodowych. Nie wykorzystuje się tego sprzymierzeńca, jakim jest nuda w małym, często izolowanym skupisku robotniczo-wiejskim.

Pieniądze są. Łączny fundusz na akcję kulturalno-oświatową zgrupowany w Zjednoczeniu PGR, poszczególnych gospodarstwach i Związku Zawodowym Pracowników Rolnych wynosi 4,5 miliona zł. Niektóre gospodarstwa pod tym względem wykazują dużą możliwość. Np. PGR Przytoczno dysponuje sumą 150 tysięcy zł, co równa się przeciętnemu budżetowi powiatowego domu kultury. Bywa też jednak, że na skutek niewłaściwej organizacji pieniądze te nie mają troskliwego gospodarza. Wydatkuje się je nieplanowo, często pod presją zamknięcia roku budżetowego. Małą też kontrolę nad wydatkowaniem posiadają rady zakładowe, które nie będąc dysponentami funduszy znajdują się w pozycji petenta w stosunku do kierownictw gospodarstw.

Niewielką troską o sprawę kultury wykazują gromadzkie rady narodowe. PGR z reguły znajdują się poza zakresem ich zainteresowania. Typowym tu przykładem jest Machnów, gdzie nie ma wsi, lecz same państwowe gospodarstwa, wskutek czego rada narodowa czuje się całkowicie „zwolniona” z obowiązku czuwania nad rozwojem działalności oświatowej, artystycznej i rozrywkowej na tym terenie. Dodac trzeba, że w instytucjach wojewódzkich nie ma zbyt dokładnej znajomości aktualnych sił i potrzeb w tym zakresie. Zjednoczenie PGR np. nie posiada pracownika odpowiedzialnego za sprawę kultury.

Szereg odbytych już konferencji oraz wiele planowanych zamierzeń pozwala przypuszczać, że znajdziemy się u początku „uderzeniowej” inicjatywy skierowanej na teren PGR-owski, jednakże nie obejdzie się tu bez tradycyjnego „odwołania się” do ofiarności nauczycielstwa, którego kadry na wsi wspomaganą są już inteligencją agrotechniczną, mechanizatorami rolnictwa, przedstawicielami służby zdrowia itp. Zwrócić też uwagę należy na możliwość współdziałania świetlic, bibliotek, kin, punktów odczytowych i szkół przysposobienia rolniczego w dziele „zaangażowania” załóg PGR-owskich do korzystania z działalności tych placówek.

Znaczne obowiązki przyjęły na siebie instytucje wojewódzkie. Wojewódzka Biblioteka ma na uwadze imprezy oświatowo-rozrywkowe o charakterze bardziej dydaktycznym, niż akcja występów artystycznych, Wojewódzki Zarząd Kin otworzył na terenie PGR 15 kin stałych, Zjednoczenie PGR zakrzętnie się w zamiarze utworzenia „wzorcowego” pod względem pracy k-o gospodarstwa. Szereg instancji partyjnych i administracyjnych przeanalizuje problem pomocy PGR, a także zostanie opracowane coś w rodzaju wojewódzkiego planu działania. Jednakże istotne wyniki zależeć będą od stopnia, w którym „odgórnie” pomyślane inicjatywy przyobleka się w realny kształt pracy „na dole”.

Czas i sposobność po temu są. PGR coraz wyraźniej zęgnają się z pozycją niewładnego partnera wymagającego ulgowej taryfy w imię przyszłej sprawności. Niektóre z nich stały się już gospodarzami rentowne, czyli zwracają dług inwestycji. Odpowiedni czas, by „wskoczyć” z kulturą w proces ich postępu, by wyrównać zaległości na rzecz tych robotniczych, aczkolwiek pozamięjskich środowisk.

Z. M.

(Dokończenie ze str. 7)

Bielone nagie ślany, prymitywne drewniane sprzęty: tapczany, stół i parę stołków. Tylko brakowało kryta. Ale, jako się już rzekło, nie na owych czasach nie mogło zadziwić. Bilobran przedstawił nam swą siostrę, dużo starszą od siebie, siwą, sympatyczną panią; na stole znalazły się szklanki po musztardzie, które nie wzięłyśmy napelniliśmy pachnący płynem; autorka wyciągnęła z ukrytego plik rękopisów i zaczęła się czytać.

Jak wynikało już z pierwszych stron, książkę tę napisał nie byle jaki znawca; myśmy w tej dziedzinie byli dyletantami, a więc rzeczowa dyskusja jakoś się nie kroila, lecz pod wpływem wspaniałego, życiodajnego trunku i niezwykłej sytuacji, języki się w końcu rozwiązały i może nie na temat, ale obok tematu potoczyła się żywa i interesująca rozmowa.

Wokół nas pod ludzkimi stopami płonęła ziemia, toczyła się zażarta nieustępliwa walka. Każdy z nas znajdował się w cieniu śmierci i mówiąc językiem biblijnym, dosłownie nie wiedział „dnia ani godziny”. A jednak oderwaliśmy się wtedy całkowicie od rzeczywistości i bez mała jak ci bogowie na Olimpie, sącząc nektar, prowadziliśmy rozmowy pogodnie i wzniosłe w stylu dialogów platońskich. Takie chwile pamięta się całe życie.

Po upływie pewnego czasu gestapo, już lubelskie, zorientowane nareszcie o osobie i roli Bilobrana, złożyło mu niespodziewaną nocną wizytę. Lecz przez swoich ludzi został w porę uprzedzony i opuścił Kraśnik w parę godzin wcześniej. Rozjuszeni Niemcy wściekłość swą wyładowali na właścicieli domu, który nie mógł nic powiedzieć, bo i nie nie wiedział o swych dziwnych lokatorach.

A potem zdarzenia tak szybko następowały po sobie, żeśmy już nie mieli czasu na rozpamiętywanie tego, co było.

Gdy bezpośrednio po wyzwoleniu znalazłem się znowu w Lublinie i udałem się do Prokuratury Specjalnej, celem zapoznania się z nowymi ludźmi, zza biurka prokuratora, ku memu wielkiemu zdumieniu, zerwał się i chwycił mnie w objęcia... Bilobran. Okazał się nim być prokurator Jerzy Sawicki, późniejszy „Norymberczyk”, a aktualnie profesor Uniwersytetu Warszawskiego, autor wielu mądrych i pasjonujących książek. Okupacyjną jego siostrą była znany muzykolog Stefania Łobaczewska.

W styczniu bieżącego roku Stefania Łobaczewska, profesor muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, zmarła. Pozostawiła po sobie liczne grono już znakomitych uczniów i wychowanków oraz wielki dorobek naukowy. Wśród książek przez nią napisanych znajduje się monumentalne dzieło o Karolu Szymanowskim. Właśnie rozdział tej książki czytała nam autorka podczas tego niezapomnianego spotkania w Kraśniku dwadzieścia lat temu.

Habent sua fata libelli.

Konrad Bielski

Judymów, ale znajdzie się niejedyn umiarkowany społecznik.

Slucham tych wypowiedzi: lekarza, działacza oświatowego i partyjnego, inżyniera i oficera MO. Charakterystyczne, że wszystkich moich rozmówców cechuje optymizm, cieszą się z szybkiego rozwoju 25-letniej Stalowej Woli, miasta powstałego w Puszczy Sandomierskiej, o tak decydującym oddziaływaniu na przemiany społeczno-ekonomiczne całej okolicy. Jeśli moi rozmówcy wypowiadają i przytaczają opinie krytyczne, to dlatego, że chcą jak najszybciej zlikwidować ujemne zjawiska, których nie brak w ośrodku nazywanym do niedawna „stacją przesiadkową” na szlaku prowadzącym do nowego życia.

Zdzisław Koziol

INFORMACJA LIKWIDUJE POZORY

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

Fragmenty dyskusji w Rozgłośni „Polskiego Radia” w Białymstoku na temat zaangażowania społeczno-kulturalnego studentów Akademii Medycznej w Białymstoku. W dyskusji udział wzięli: Alicja Mikulska — sekretarz KW ZMS, Leszek Piróg — kierownik Klubu studenckiego „Herkulesy”, Janusz Lebek — sekretarz Komitetu Uczelnianego ZMS, Leszek Kubicki — „Polskie Radio”, Aleksander Gabrusiewicz — „Kamena”.

Gabrusiewicz: W zeszłym roku opublikowaliśmy w „Kamieniu” artykuł Leszka Kożuski pt. „Historia plotka, którego nie było” — polemizujący z dotychczasowymi wypowiedziami na łamach prasy białostockiej o zaangażowaniu studentów. Problem jest nadal aktualny. Czy rzeczywiście istnieje ten jakiś konflikt między miastem a środowiskiem studenckim?

Mikulska: W naszym mieście wytworzyło się błędne przekonanie, że skoro jest Akademia Medyczna, skoro istnieje środowisko studenckie, to jest ono obowiązane tylko „dawać” społeczeństwu, „wywierać” motoryczny wpływ na całość kulturalnego i społecznego życia miasta”. Musimy jednak pamiętać, że gros białostockich studentów pochodzi z małych ośrodków, że są oni w większości konsumentami kultury. A z drugiej strony: — coż to społeczeństwo daje studentom w sensie jakiejś inspiracji, poczynań (w dziedzinie kultury), w które mogliby się zaangażować studenci? Co prawda ostatni sukces studentów dowodzi, że nie jest tak źle...

Kubicki: Mówisz o „Osesku”?

Mikulska: Tak. „Osesek”, jak w'adomo, zajął III miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Zespołów AM w Warszawie. Dla tak młodego zespołu to naprawdę zaskakujące wyróżnienie. Świadczy ono, że odpowiednia inicjatywa rzucana na podatny grunt może przynieść nadszodkowane efekty.

Kubicki: No dobrze, ale mówimy cały czas o inicjatywie z zewnątrz, w tym wypadku o inicjatywie ZMS. Ale jak to wygląda w przypadku inicjatywy „wewnętrznej”? Fakt sprzed lat paru — juwenalia. Niewypały!...

Mikulska: Właśnie! Kilka lat temu! Od tego czasu dużo się zmieniło. Wzrosła liczba studentów, wzrosły ich doświadczenia.

Lebek: Dużo nieporozumień wynika na skutek złego informowania społeczeństwa o tym, co się w tej „republice studenckiej” dzieje. Ogół mieszkańców sądzi, że akademicy nic nie robią poza nauką. A tymczasem, w chwilach wolnych od obowiązków nasze środowisko interesuje się wieloma dziedzinami życia. Na apel władz, studenci jako jedni z pierwszych przystąpili do odsieniania miasta, były próby wychodzenia z programem artystycznym specjalnie dla miasta, pracowaliśmy w lecie w PGR przy sprzączeniu zboża. To są drobiazgi, ale świadczą one jednak o postawie społecznej. A o zainteresowaniach kulturalnych może świadczyć praca ośrodków dyskusyjnych przy Klubie ZMS „Herkulesy”, czy przy Klubie ZSP „Co nie co”. Sprowadzamy tam wielu wybitnych przedstawicieli kultury i nauki i na te spotkania ma wstęp każdy, nie tylko studenci.

Piróg: Na uczelni istnieje studenckie koła naukowe, wyjeżdżamy na praktyki zagraniczne, podejmujemy cały szereg akcji społecznych. Np. „białe niedziele”, zresztą bardzo popularne również w innych ośrodkach medycznych. Prowadzimy tzw. „wiejskie szkoły zdrowia” (inicjatywa ZMW), a więc wyjazdy do najbardziej zapadłych wsi z prelekcjami o higienie, o pierwszej pomocy, takie wieczory pytań i odpowiedzi na tematy medyczne. Ale z in-

formowaniem miasta o naszych poczynaniach rzeczywiście nie jest najlepiej. Nie wiem na przykład czy słyszeliście Państwo, że w najbliższym czasie przez „Oseska” będziemy mieli w Białymstoku jeszcze kabaret ZSP?...

Mikulska: Trzeba wspomnieć też o kameralnej akcji zabaw „Bez wódki a wesoło”, szeregu bardzo udanych imprez organizowanych wspólnie z Komitetem Antyalkoholowym.

Kubicki: Tak, to była dobra inicjatywa studentów.

Gabrusiewicz: Wydaje się, że zasygnalizowaliśmy tu sprawę dosyć istotną, mianowicie sprawę niedostatecznej informacji społeczeństwa o poczynaniach studenckich. Odpowiedzialność za to ponoszą chyba nie tylko prasa i radio, ale i sami studenci, no i chyba potwierdza się teza, że konflikt studenci — miasto jest konfliktem pozornym. Bo to nie są dwa zwalczające się obozy, lecz (jeśli tak jest) to patrzy ona na siebie z oddali zajmując pozycję wyczekującą. Teraz tylko chodzi o to, by ktoś pierwszy wydgagnął dłoń. Jako młodzi, powinni to uczynić pierwsi studenci...

Rozmowa w Stalowej Woli

(Dokończenie ze str. 6)

czasem lekarz, który nie bez hałasu wyprowadza stamtąd swoich pacjentów gruźlików. — To oryginalne — mówią o nim. Wolny czas poświęca na krzewienie oświaty sanitarnej, wygłasza w zakładach pracy bardzo interesujące pogadanki. Lekarzy, zwłaszcza praktykujących prywatnie, zwykło się utożsamiać z posiadaczami fortun. Twierdzili, że wprowadzić brak u nas

WSPOMNIENIA Z TANGANIKI (1)

WANDA DRYŁOWA

WYOBRAZAM sobie Dar-es-Salam w dniu proklamowania republiki Tanganiki. Bajecznie kolorowe drzewa plawią się w słońcu, rozgrzane powietrze przesycone jest zapachem drzew pomarańczowych i oceanu, z nad którego dochodzi szum przypływu. I tysiące rozentuzjowanych twarzy, tysiące wyciągniętych gestem pozdrowienia rąk witających wolność.

Zobaczyłam Dar-es-Salam, gdy przed osiemnastu laty zesłam na „czarny ląd” z pokładu holenderskiego statku. Tanganika była wtedy krajem powierniczym i choć bunt przeciw kolonializmowi ogarniał coraz więcej umysłów, nikt nie umiałby wówczas przewidzieć, że w grudniu 1962 roku Tanganika znajdzie się w rodzinie wolnych republik afrykańskich.

Nie było wtedy czasu na dokładne poznanie miasta, nie udało się plan wyprawy na Zanzibar. Symbolem tej wyspy jest gałązka goździkowca, powtarzająca się jako motyw zdobniczy na wyrobach ze srebra i złota. Wyszuszone pączki kwiatów używane są u nas pod nazwą goździków jako przyprawa do mięsa i ciast.

Pogodzeni z losem ładujemy się do pociągu, który ma nas zawieźć do Morogoro, miasteczka leżącego przy linii kolejowej łączącej Dar-es-Salam z innym portem Tanganiki — nad wschodnim brzegiem jeziora o tej samej nazwie. Morogoro ginie prawie wśród intensywnej zieleni. Rosną tu rozłożyste drzewa mango, w których splaszczony owoc o zielonej skórce mają soczysty miąższ o lekkim aromacie terpentyny. Gaszą pragnienie, a zjedzone w większej ilości oszalamiają. Rodzą się tu i dojrzewają wszystkie owoce południowe, a więc pomarańcze, cytryny, banany, ananasy, rośnie herbata, kawa i wanilia.

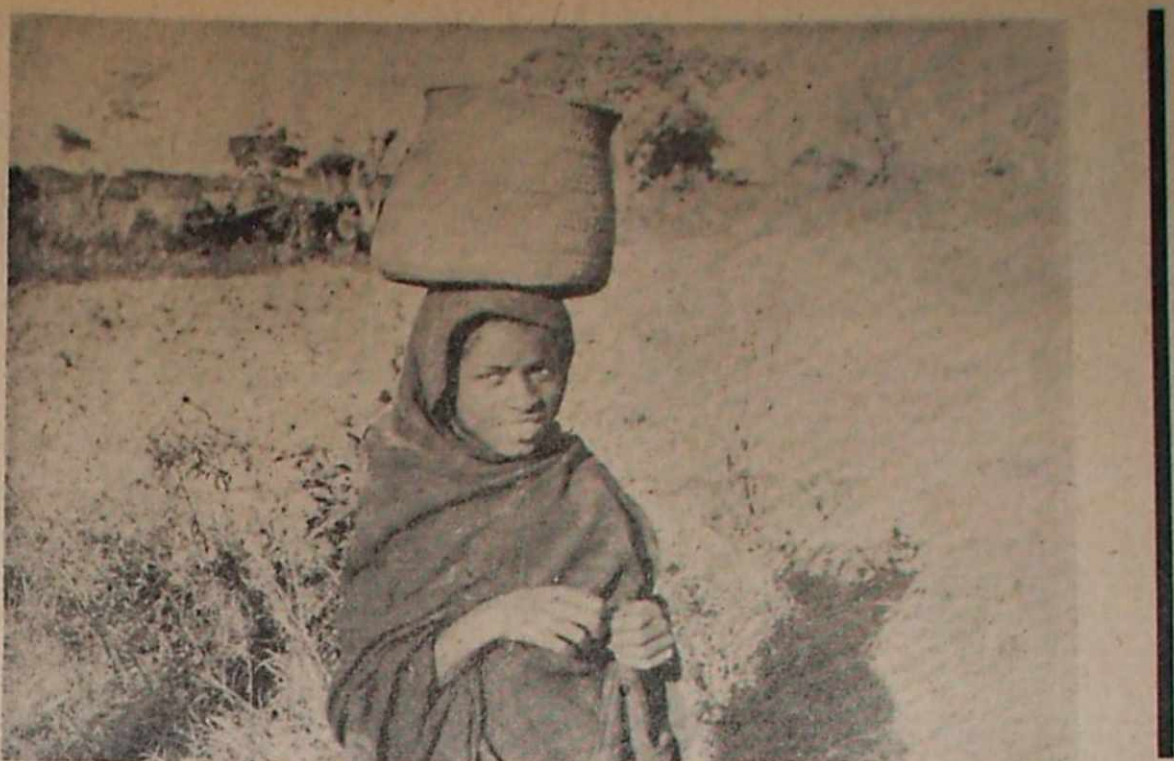
Po raz pierwszy jem duże owoce papaya przypominające kształtem gruszkę. Są bardzo smaczne, soczyste i zdrowe, zawierają bowiem w sobie pepsynę, którą zbiera się nacinając skórkę zielonych jeszcze owoców. Mleczko ścieka z nacięć do rozpiętych pod koroną drzew parasoli; pozostały po odparowaniu biały proszek to pepsyna. Palmy kokosowe są tu bardzo wysokie, a u nasady długich, pierzastych liści dochodzących do pięciu metrów długości rosną orzechy. Na otwartych przestrzeniach, w sąsiedztwie drzew akacjowych stoją pojedyncze baobaby-giganty. Jeden z nich, oszacowany na cztery tysiące lat Matuzalem budzi podziw graniczący z zachwytem. Majestat czasu i trwania.

Miasteczko Morogoro to kilka budynków administracyjnych, poczta, więzienie i prywatne domy. Poza tym bardzo charakterystyczne, a przypominające Iran kłopot-warsztaty. Ze względu na panujący upał są pootwierane, można więc do nich zajrzeć, co nawet jest mile widziane. Pracują w nich czarni szewcy, krawcy i snycerze. W takim sklepie widziałam Murzynów szyjących najbardziej intymne części bielizny damskiej. W innym zakątku czarne ręce, cierpliwe, mocne i zręczne, rzeźbią w hebanie i kości słoniowej okazy fauny — najczęściej słonia i czaple. Sklepy są własnością Hindusów lub Arabów, Murzyni są tylko pracownikami.

Na zachód od Morogoro zaczyna się Centralna Wyżyna Tanganiki. Bujna zieleni została za nami, step pokryty jest trawą i niskimi akacjami o płaskich koronach. Z pociągu widać kilka żyraf; barwą sierści harmonizują z szaro-żółtym stepem. Nad płaskimi parasolami akacji sterczą zabawnie zgrabne, nieproporcjonalnie małe głowy z pionowo nastawionymi uszami. Lokomotywa zrównuje się z nimi; wszystkie jak na komendę robią w prawo zwrot i pędzą równoległe do jazdy pociągu potężnymi susami. Jeszcze parę skoków, ale już w kierunku toru i żyrafy wygrzywają wyścig z parowozem. Zmieniamy okna i widzimy fenomenalne sprinterki po prawej stronie toru biegnące jeszcze, ale już wolno, spokojnie.

Z Dodoma pociąg jedzie bez nas. Następną stacją kolejową przed Kigoma będzie Tabora, gdzie przebywają internowani Włosi, którzy osiedlili się w Abisynii po klęsce cesarza Haile Selasie. Wicekról, ksiądz d'Aosta, również internowany, umarł w obozie pod Nairobi, w Kenii.

Przenocowawszy w hotelu zabieramy z sobą jedzenie i herbatę z mlekiem, ładujemy się do autobusów i jedziemy na południe do odległej prawie o dwieście mil Iringi. Droga pnie się coraz wyżej, przecinając



cynobrowymi taśmami z boczna gór osiągniętych tu 2000 m nad poziom morza. Nisko, w dolinie rzeki zleni się las galeriowy, wyżej rosną akacje. Jest duszno od spalin, czerwony pył unoszący się spod kół autobusu zmienia nas w czerwonoskórych. Zjeżdżamy nieco, by piąć się jeszcze wyżej i wyżej. Przypomina mi się podobna, ale tylko podobna, droga z Azerbajdżanu do Teheranu, gdy przejazd przez góry Elbrus przyprawił człowieka o zawrót głowy i zeszywnienie karku.

Dojeżdżamy do Iringi. Miasteczko to leży na skraju wielkiego, pozostałego za nami wzniesienia kończącego się prostopadłą ścianą, w której wykuta jest ukośnie wąska droga — nad nią stroma skała, poniżej przepaść.

Autobus toczy się z góry z dociśniętymi do deski hamulcami. Tak dociera do dolnej krawędzi gigantycznego bloku, wyrównuje i lekko pofalowaną drogą jedzie dalej. Czarny kierowca ociera spoconą twarz, uśmiecha się do mnie i pokazuje mi ruchem głowy coś, czego nie zauważyłam. Już widzę. Na prawo od drogi na tle akacjowego lasu stoją wysokie na trzy metry kopce termitów. Droga zaludnia się czarnoskórymi robotnikami, którzy rozbijają kilofami twarde termitery na drobny tłuczeń, by nim wyrównać nawierzchnię drogi, zniszczoną ulewami minionej pory deszczowej. Jest czerwiec, a do końca października nie spadnie ani jedna kropla deszczu. Za Njombe przejeżdżamy przez kilka rzek. Pod żelaznymi konstrukcjami sączą się pasemka wody, gdzie indziej koryto rzeki świeci bielą wyschniętych kamieni.

Zbliżyliśmy się do południowych granic Tanganiki. Przechwycawszy przez jeszcze jeden potężny grzbiet wzniesień zjeżdżamy w kraj zielony. Drzewa, plantacje bananów, równe grzędy ananasów rosnących jak u nas kalarepa i białe grzybki domów krytych słózkami dachów z grubej, wysuszonej trawy. Płoszymy wielkie stado mały i strusia, który ucieka na silnych, wysokich nogach, pokazując nam na pożegnanie piękny i kosztowny ogon. Już po zachodzie słońca dojeżdżamy do Mbeja, leżącego na pograniczu Północnej Rodezji. Podobne jest do innych miasteczek. A więc budynki administracji, hotel, w którym nudzą się po skończonym urzędowaniu Anglicy, piłą whisky and soda, oraz konwent, szkoła-internat dla dzieci angielskich, zjeżdżających tu również z Kenii i Ugandy. Wracamy do Njombe i po półtoragodzinnej jeździe jesteśmy na terenie niemieckiej misji Kidugala. Rzeka tworzy tu dolinę wypiętrżającą się wysokim pofalowanym grzbietem, który tubylcy nazywają Kipin-Ngere.

Mieszkańcy w domku pod dachem, którego okap zasłania jedną trzecią okna. Przed oknem uwijają się dwa zapamiętali przyjaciele babci i mego czteroletniego syna. Ubrani są w piżamy damskie i takie swetry, wyciągnięte z walizki. Cała czwórka mozi się nad uformowaniem grządek z naniesionej na kamienne usypisko ziemi. Praca musi być zakończona przed nadejściem pory deszczowej. Jeden z Murzy-

nów nazywa się Njuma. Przyszedł dziś wcześniej i przyniósł w płóciennym woreczku orzeszki ziemne — karanga.

— Apana nataka szillingi — opowiada małemu białemu chłopcu, pragnącemu przeprowadzić zwykłą wymianę płodów na pieniądze.

— Mgapi szillingi? — pyta poważnie po raz drugi. Njuma potrząsa głową przecząco, bierze małą, dziecięcą rączkę w swoje dołnie i śmiejąc się powtarza: — Apana nataka.

Wojtek uwalnia rękę z uścisku i przygląda się dłoniom czarnego przyjaciela. Są dużo jaśniejsze od całej skóry, a język, widoczny przy szerokim uśmiechu, jest zupełnie różowy, jak jego własny język.

Siedzą obok siebie i jak dzieci poklepują się wzajemnie.

— Zagraj na malimbo — prosi chłopiec.

Ale Njuma nie zagra. Nie ma czasu. Będzie dziś wypalał suchą, twardą i wysoką na półtora chłopa trawę. Już od tygodnia długie węże ognia pelzając po zboczach zamieniły nieprzydatne do niczego suche badyłe w popiół. Gdy żar wygaśnie, plugi przeorzą ziemię, motyki uformują grzędy, na których rosnąć będzie kukurydza, proso z fasolą, maniok i karanga. Njuma ma koło domu trochę bananów. Piękne są, gdy ze środka kępy wysokich, długich kiści wyrasta na długiej, mocnej łodydze kwiat prawie półmistrzowej średnicy. Płatki przypominają kolorem płat mięsa wyciętego z uda antylopy. Gdy wędzną jedne, rozwijają się następne, aż wokół łodygi zawiąże się, wyróżnie i dojrzeje kilkadziesiąt, do stu bananów.

Jest jeszcze druga przyczyna pośpiechu. Od dłuższego czasu grasuje po okolicy lew samotnik, który w poszukiwaniu wody podchodzi pod osiedle. Poprzedniego dnia, gdy słońce wisiało nad Kipin-Ngere, a ciemność wchłonęła w siebie kształty drzew i krzewów, lew podszedł do wodopoju. Nikt go nie widział, ale wszystko, co żyło wokół, podniosło taki wokalny alarm, że skóra cierpła na grzbiecie. Rano na grządkach i ścieżkach widoczne były ślady jego łap. Samotnik jest zawsze niebezpieczny, wobec tego na jutro zapowiedziano wyprawę. Przyjadą dwaj wyborowi strzelcy. Mają oni prawdziwe karabiny, a każdy wystrzelony ostry nabój kwitują zabita sztuką.

Njuma zdejmując z ramienia zawieszony na sznurku malimbo i zostawia je swemu małemu przyjacielowi; bierze do ręki dzię i już z drogi woła:

— Kwaheri — do widzenia.

Nazajutrz po południu wpadł do osiedla Murzyn, potrząsając zwycięsko krzywą pałą. Chwila i tą samą drogą, którą przybiegli zwiastun udanych łowów, mknęła ciężarówka po zabitego lwa.

Odegrała niestety rolę karawanu jadącego za konduktem pogrzebowym. Przywiązany bowiem do drąga lwa niosą Murzyni, otoczeni gromadą podskakujących, płasających i śpiewających rytmicznie towarzyszy polowania.

— O-ee... Simba kufa.

(c. d. n.)

NOWE FORMY PRACY LUBELSKIEGO ZSP

(Dokończenie ze str. 2)

nie cenną inicjatywą Rady Okręgowej są jednak jej poczynania związane z współpracą z województwem Polskiej Wschodniej, dzięki którym władze wojewódzkie, partyjne i administracyjne zyskują w studentach poważnego współrealizatora programu „nowej Unii Lubelskiej”.

Od 1959 roku lubelska Rada Okręgowa ZSP współpracuje z jednym z miast województwa białostockiego — Elką. Wtedy, lubelscy studenci po raz pierwszy zorganizowali Ogólnopolski Zjazd Studentów do Ziemi Elckiej. Z tej okazji została przez ROR wydana Jednodniówka „Z plecakiem przez Ziemię Mazurską” poświęcona ziemiom mazurskim; znalazły się w niej m. in. poezje Kajki i innych ludowych poetów ma-

zurskich. „Złazowicze” rozprowadzili cały 3.000 nakład wśród mieszkańców okolic, przez które prowadziła ich wędrowka. Na zakończenie Złazu odbyły się w Elku występy studenckich zespołów artystycznych. Miasteczko odmłodziło. Od tej pory utarło się, że na zakończenie każdego turnusu turystycznego młodzież lubelska poświęca kilka godzin pracy społecznej, porządkowaniu miasta, organizuje zabawy, festyny, połączone z występami artystycznymi, a ojcowie miasta starają się o zpełnienie noclegów, w miarę możliwości organizują środki lokomocji, fundują nagrody dla uczestników konkursów. Sielska współpraca daje coraz lepsze wyniki. W Elku osiedlają się absolwenci uczelni lubelskich, którzy kilka lat temu przybyli tam tylko „po rzęki turystycznej”, miasto zyskuje potrzebny mu fachowców, a stosunek władz miejskich do „starych znających” jest szczególnie serdeczny — przewodniczącą MRN Mieczysława Wyszczelski nie tylko stara się o to, żeby zatrudniony absolwent nrychmiast otrzymał mieszkanie, ale osobiście go w tym mieszkaniu odwiedza doglądając troskliwie, czy aby wszystko jest w porządku.

Zaczął się od niewinnej imprezy turystycznej. W tej chwili na terenie województwa białostockiego pracuje około 100 absolwentów lubelskich wyższych uczelni. Porozumienie: Elk — studenci lubelscy wyszli poza granice powiatu. Rada Okręgowa ZSP wystąpiła do władz wojewódzkich Białegostoku z propozycją, by opracowały zespół problemów, które mogłyby wziąć na warsztat studenci w swoich pracach magisterskich. Szczególnie dotyczyłyby to studentów zamierzających osiedlić się w przyszłości na ziemiach należących do województwa białostockiego. Taki absolwent nie obejmowałby nowego stanowiska „z pustymi rękami”, ale wnoszyłby coś od siebie. Plany Rady Okręgowej idą zresztą jeszcze dalej. Nie tylko studenci i absolwenci ale także poszczególne katedry stawałyby sobie za zadanie opracowanie problemów interesujących województwo. Taką działalność praktykuje się już zresztą w środowisku warszawskim, które opiekule się województwem koszalińskim; spośród grona profesorskiego powołano w tym celu specjalną Radę Naukową. Działalność daje jak dotąd doskonałe wyniki. Na uczelnich lubelskich studuje około 1.000 studentów z województwa białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego. Sekretarz KW PZPR w Lublinie tow. S. Zgrzywa rzucił projekt, aby te województwa „za-fundowały” swoim ziomkom dom akademicki w Miasteczku Uniwersyteckim w Lublinie. Rzecz rozwiązująca sytuację mieszkaniową lubelskich studentów — przy odrobienie dobrej woli niestrudna do zrealizowania. I tę sprawę stara się więc „przepechać” Rada Okręgowa podczas swoich rozmów z władzami Białostocczyzny. Ambicją lubelskich studentów jest rozszerzenie swojej działalności także na województwa: rzeszowskie i kieleckie. Jak zwykle, brak odpowiednich funduszy, brak personelu stoi na przeszkodzie. Kilka osób, pracowników Rady Okręgowej nie może rozzerwać się na trzy strony województwa lubelskiego, nie może organizować jednocześnie współpracy z trzema województwami. Dlatego studenci wiele sobie obiecują po majowej się na jesieni odbyć w Lublinie konferencji 4 województw, która ma na celu podsumowanie dotychczasowej współpracy. Sądzą, że znajdują wtedy wśród przedstawicieli „Unii” zrozumienie i pomoc dla swoich poczynań.

Mirosław Derecki

PRZEGLĄD PRASY

Uwagi, doświadczenia i propozycje prof. Infelda dotyczą wprawdzie fizyki, ale ich sens jest ogólniejszy, godny namysłu i wyszkolenia w dokonywanej reformie szkolnej.

Dni oświaty, książki i prasy nadal inspirują publicystykę prasy tygodniowej. W *Nowej Kulturze* (nr 20) Czesław Kałużny w artykule „Czy kultura niedzielnego obrządku?” podejmuje temat upowszechnienia kultury na wsi. Temat to często eksploatowany, ale nigdy o nim nie będzie za dużo. Kałużny widzi obie strony medalu: jasną — awans cywilizacyjny i kulturalny polskiej wsi, dostrzega też drugą — ciemniejszą. Daje zestawienia paradoksalne. Na jedną zagrodę przypada w Polsce 4 złote rocznie na zakup książek rolniczych, czyli mniej więcej tyle, ile kosztuje paczka papierosów. W jednej wsi jest telewizor i świetlica, którą otwiera się raz na tydzień — dla „Kobry”. W świetlicy siedzi się oczywiście w czapkach. Znajdzie się 3 złote na małą czarną, natomiast brak ich na pastę do zębów. Awans polskiej wsi jest faktem, ale:

„Wystarczy mały wypadek nieopodal stolicy. Antena telewizyjna nad stromym dachem nie należy to do rzadkości. Bagnisty wąwóz prowadzący do klubu-kawiarni wiejskiej, albo motocykle zamiast maszyn rolniczych (s.m.). Tu nowa szkoła choć bez kanalizacji i łaźni. Tam ośrodek zdrowia, albo agronomówka. W innej znów wsi dom ludowy, a już co najmniej klub-kawiernia, czy świetlica; za to brak porządnego chodnika, czy wody zdanej do picia. Dowodzenie o powszechności rewolucji kulturalnej naszej wsi jest więc raczej bliższe marzeniom, niż faktom”.

Wnioski i propozycje autora idą w tym kierunku, aby oświata i kultura szła na wsi wespół z podstawowymi zdobyczami cywilizacji.

W *Polityce* (nr 20) znajdujemy kilka ciekawych pozycji. W cyklu „Spójrzmy na zegarki” A. Paszyński publikuje reportaż pt. „500 minut pana kierownika”, z którego wynika, że kierownik budowy był przez cały dzień załatany, choć przez ten czas nic nie zrobił; K. Nastulanka przeprowadza kolejną rozmowę, tym razem z autorem „Starego i nowego” — Lucjanem Rudnickim; J. Śmietański w artykule „Złote jasko” przedstawia — cytując sformułowania „Polityki” — „sytuację ekonomiczną kury polskiej, odrębność i wyjątkowość jaski polskiej na tle sprawy polskiej”. Na koniec trzeba odnotować rzecz K. Woliczkiego „Trudne dzieci”. Teza autora brzmi, że nie cywilizacja winna trudnościom wychowawczym, ale wzrastający koszt kształtowania pełnowartościowego człowieka. Chodzi tu nie tylko o sprawy ekonomiczne, ale także czas, jaki trzeba dzieciom poświęcić.

TK

Kronika kulturalna

BIAŁYSTOK

ZASTĘPCA PRZEWODNICZĄCEGO RADY PAŃSTWA Bolesław Podęgowy i minister oświaty Wacław Tułodziecki spotkali się z nauczycielstwem i młodzieżą Zambrowa.

WOJEWÓDZKA KOMISJA KOORDYNACYJNA zorganizowała spotkanie z przedstawicielami komisji powiatowych i prezydów PRN. Omawiano na nim porozumienie pomiędzy CRZZ i Ministerstwem Kultury i Sztuki, sprawę usamodzielnienia powiatów oraz ożywienia działalności kulturalno-oświatowej w państwowych gospodarstwach rolnych.

W MUZEUM REGIONALNYM W SUWALKACH otwarto wystawę pt. „Jadwięg w świetle wykopalisk”.

KIELCE

SEKRETARZ RADY PAŃSTWA Julian Horodecki odwiedził Kielecczyznę.

28 MAJA ODBYŁA SIĘ SESJA MRN w Kielcach poświęcona sprawom kultury, sportu i turystyki.

WOJEWÓDZTWO KIELECKIE należy do produjących w kraju województw w zbiorze na SFOS.

LUBLIN

EGZEKUTYWA KW PZPR omawiała pracę kulturalno-oświatową w województwie lubelskim.

W MICHOWIE W POWIECIE LUBARTOWSKIM oddano do użytku pierwszy w województwie lubelskim wiejski dom higieny.

TEATR IM. J. OSTERWY na kieleckim festiwalu otrzymał nagrodę za realistmą re-

KONKURS

Z okazji zbliżającej się XX Rocznic Polski Ludowej — Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach w porozumieniu ze Związkiem Literatów Polskich i Spółdzielnią Wydawniczą „Czytelnik” w Warszawie ogłasza konkurs otwarty na współczesną powieść społeczną określającą przemiany, jakie nastąpiły po Wyzwoleniu, w powiązaniu z walkami narodo-wyzwoleńcymi, związaną tematycznie z regionem kieleckim.

Celem konkursu jest wzbudzenie zainteresowania dorobkiem i przemianami społecznymi i kulturalnymi, jakie dokonały się i nadal dokonują w ostatnim 20-leciu w Kielecczyźnie, która brała tak żywy udział w walkach o wyzwolenie narodowe i społeczne, począwszy od insurekcji Kościuszkowskiej aż po ostatnie działania przeciw hitleryzmowi.

W konkursie mogą uczestniczyć wszyscy, nie tylko członkowie Związku Literatów Polskich.

Na konkurs mogą być zgłaszane jedynie prace dotychczas nigdzie nie publikowane. Objętość pracy jest w zasadzie dowolna, pożądana jest jednak od 12 do 20 arkuszy wydawniczych.

Prace należy zgłaszać w maszynopisie z marginesem. Powinny one być podpisane godłem. Imię i nazwisko oraz dokładny adres autora należy podać w znajdującej się wewnątrz przesyłki zapieczętowanej kopercie.

Termin nadsyłania prac — do dnia 15 marca 1964 r. Adres: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej — Wydział Kultury w Kielcach, Plac Zamkowy 1. Termin konkursu jest ostateczny i nie będzie przedłużony.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w przededniu XX Rocznic Manifestu Lipcowego.

Przewidziane są następujące nagrody:

nagroda I	— 40.000 zł
nagroda II	— 30.000 zł
nagroda III	— 25.000 zł
3 wyróżnienia po	— 5.000 zł

Prace nagrodzone względnie wyróżnione, wybrane wg uznania Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” będą opublikowane drukiem. Indywidualne umowy wydawnicze z autorami będzie zawierała Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” we własnym zakresie, zgodnie z obowiązującym prawem autorskim.

Bliższych informacji dotyczących tematyki i spraw technicznych oraz regulaminu konkursu udziela korespondencyjnie lub na miejscu Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach.

lizację i konsekwencje artystyczną. Nagrody indywidualne otrzymał Halina Machulska, Stanisław Mikulski i Jan Machulski.

W ZAKLIKOWIE odbyła się premiera nowego filmu polskiego pt. „Mim tu swój dom”. Przybyli na nią i sekretarz KW PZPR Władysław Kozdra, zastępca przewodniczącego PWRN Jan Kisielewski oraz wiceprezes WK ZSL Stanisław Lejwoda.

RADZIECKI ZESPÓŁ ESTRADOWY występował z dużym powodzeniem na Lubelszczyźnie.

W DNIACH OD 23 DO 25 MAJA obradował w Lublinie XV Zjazd Naukowy Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego.

RZESZÓW

DNI OŚWIATY KSIĄŻKI I PRASY dobiegły w zasadzie końca. Ich plan przedstawia się następująco: pięć nowo otwartych bibliotek wiejskich — w Górze Matycznej i Łatoszynie (pow. debicki), Cierpiszu (pow. hańczański), Kosienicach (pow. niski) i Skopaniu (pow. trzemeski).

Obok dwóch bibliotek: w Łatoszynie i Skopaniu zorganizowano czytelnice. Docekalni się również czytelnice mieszkańcy „starego” Mielca. Piękną filię otrzymała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie. Prowadzi ona obok wypożyczalni dla starszych dzieci, czytelnik-klub. Dwie filie otworzyła PIMBP w Mielcu a jedną biblioteka w Woli Żyrakowskiej w pow. debickim. Nowy gromadzki ośrodek życia otwarto w jednej z największych wsi województwa — Kamieniu. Cenna inicjatywa organizowania nowych placówek ko szczególnie na wsi, spotkała się z bardzo przychylną oceną władz partyjnych i państwowych.

WIELU PISARZY I PUBLICYSTÓW odwiedziło coroczny, tradycyjny zwyczajem nasze województwo z okazji „Dni Oświaty”. Ze swoimi czytelnikami spotkali się m. in. Janina Broniewska, Wolech Zukrowski, Stanisław Wygodzki, Andrzej Szczygiński, Hanna Mortkiewicz-Oleczakowa, Roman Turek, Jerzy Łyżwa, Jerzy Pleśniarowicz i Magda Leja. Biblioteka Wojewódzka zebrała plon tej pracy w postaci wielu setek nowych czytelników.

„DZIEŃ DZIAŁACZA KULTURY” przebiegał bardzo uroczysto we wszystkich powiatach naszego województwa. Wojewódzki Dzień Działacza Kultury zorganizowany został w tym roku w Łańcucie. Za stołem prezydijskim zasiadli m. in. członek Rady Państwa Józef Ozga-Michałski i wiceminister kultury i sztuki Zygmunt Garstecki. Cztery osoby otrzymały odznaczenia państwowe, 16 osób odznakę zasłużonego działacza kultury, a ponad 100 osób nagrody pieniężne.

W ŁANCUCIE ODBYŁO SIĘ również podsumowanie ogólnopolskiego konkursu pod hasłem „Złoty kłos dla twórcy, srebrny dla czytelnika”. Jak poinformował zebranych jeden z współorganizatorów konkursu red.

naczelnicy „Dziennika Ludowego”, pose Stanisław Cieślak. „Złoty kłos” przypadł w udziale Marcinowi Fornalskiemu. Dwa i trzydziestu „srebrnych kłosów” otrzymali czytelnicy z pow. trzemeskiego. Za przeprowadzenie konkursu Powiatowa Biblioteka i Kącik otrzymała jedną z dwóch drugich nagród.

„ENEASZ I DYDONA” to tytuł opery Henryka Purcella, którą zaprezentował melomanom Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie. Solistami byli: Zofia Janukowicz z Opery Gdańskiej, Jadwiga Dzikówna z Opery Warszawskiej, Irena Winiarska z Teatru Operowego z Poznania oraz Jerzy Sergiusz Adameczewski z Operki Warszawskiej. Estradowe wystawienie tej młodej XVII-wiecznej opery przygotował dyrygent POS w Rzeszowie Janusz Ambros.

MUZEUŃ OKRĘGOWE W RZESZOWIE zorganizowało wystawę archeologiczną pt. „Rzeszowie w zaraniu dziejów”.

TRZECIA Z KOLEI SZKOLE TYSIĄCLECIA ufundowały robotnicy Stalowej Woli dla swoich dzieci.

RADCA AMBASADY ZSRR W WARSZAWIE, FIODOR KONSTANTINOW odwiedził ostatnio województwo rzeszowskie. W trakcie parodniowego pobytu spotkał się z aktywnym kulturalnym miastem Rzeszowa, i młodzieżą szkolną Liceum im. Młodej Gwardii w Rzeszowie oraz wziął udział w spotkaniu zorganizowanym przez władze w Debicy z okazji Dnia Działacza Kultury.

Unia

KSIAŻKI NADESLANE

Państwowy Instytut Wydawniczy

Beniamin Appel — Niebieska gołębia, przełożyła Maria Boduszyńska-Borowiakowa, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.
Stefan Flukowski — Wybór wierszy 1926—1963, Warszawa, 1963.
Cyprian Norwid — Trylogia włoska, wydł z autografu i wstępem poprzedził Juliusz Gonulicki, Warszawa, 1963.
Tadeusz Różewicz — Nic w płaszczu Propera, Warszawa, 1962, wyd. pierwsze.
Bolesław Drobnier — Bezzastanna walka — Wspomnienia 1883—1918, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.
Karol Stromenger — Ludzie żywi — Muzart, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.
Eugeniusz Skrodzki-Wielisław — Wieczny płatkowie i inne gawędy, opracował i wstępem poprzedził Mieczysław Opalek, Warszawa, 1962.
Aleksander Wat — Wiersze śródziemnomorskie, Warszawa, 1962, wyd. pierwsze.
Włodzimierz Maksimow — Tętno życia — tłumaczenie zbiorowe, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.
Jurij Zhaback — Jedyna, powieść, przełożył Eleonora i Włodzimierz Słobodnikowie, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 1852 16.V.63 r. N-3.